



# OPATOWLANIN

Czasopismo Towarzystwa Przyjaciół Opatówka

1 (113) - 2000



Eligiusz Kor-Walczak  
(1913 - 2000)

## ELIGIUSZ KOR-WALCZAK NIE ŻYJE

25 maja 2000 roku zmarł w Kaliszu Eligiusz Kor-Walczak. Bardzo trudno jest się pogodzić z odejściem bliskich i tych, którzy swoim życiem znaczyli wyraźny ślad w naszej historii, literaturze, sztuce czy nauce. Do takich właśnie ludzi należał Eligiusz Kor-Walczak.

Był kaliszaniec i większą część swojej twórczości literackiej poświęcił Kaliszowi i jego historii. Jednak Opatówek pozostał dla Niego zawsze wspomnieniem lat młodości i pierwszą „małą ojczyzną”. Po powrocie z syberyjskiej tułaczki właśnie tutaj znalazł dom i przyjaciół. Jeszcze w czasie pobytu na Syberii wyobraźnia małego chłopca została rozbudzona opowiadaniem matki – Marianny z Miluśkich Walczkowej, która pochodziła ze starego opa-

towskiego rodu młynarzy. Z opowiadań matki wylaniały się minione czasy i postaci, duchy i nadprzyrodzone moce ingerujące w życie ludzi. Te obrazy z dzieciństwa, wzbogacone wiedzą historyczną i językoznawczą, stały się osnową baśni i legend oraz opowiadań historycznych.

Po wojnie pisarz zamieszkał w Kaliszu, ale Opatówek był Mu zawsze bliski. Wracał tu często i z radością odwiedzał znajome zakątki. Interesowały go przede wszystkim losy zabytków. Widział uszkodzoną „różę wiatrów” na dachu dawnej fabryki sukna, zdewastowany mostek w parku, brak ozdobnej śruby na tablicy pomnika Gillerów i niszczące zabytki. Przypominał ludzi, o których nie wolno nam zapomnieć i minione wydarzenia. Potrafił „zarażać” swoją pasją odkrywania przeszłości. Cieszył się, gdy w Opatówku powstało wspaniałe muzeum, a „róża wiatrów” odżyła. Swoją powieść o Opatówku zawierającą legendy i podania rodzinne zatytułował właśnie: *Miasteczko róży wiatrów*. Opatówkowi poświęcił wiersze, opowiadania w tomiku *Srebrne trawy* i ciepłe wspomnienia w ostatniej książce pt. *Zdarzyło się życie*.

Eligiusz Kor-Walczak interesował się życiem kulturalnym Opatówka. Wraz ze swoim synem – Krzysztofem, przyczynił się w dużym stopniu do powołania Towarzystwa Przyjaciół Opatówka. Uczestniczył w spotkaniach historycznych Towarzystwa, dzieląc się ze słuchaczami swoją wyjątkową wiedzą o historii miasteczka i jego mieszkańcach. To z jego inspiracji zawiązała się redakcja „Opatowianina”. Pokazał nam „Tygodnik Opatowski” wydawany przed wojną w Opatówku, w którego redagowaniu uczestniczył, i w ten sposób zachęcił do stworzenia własnej lokalnej gazetki. Upoważnił redakcję do drukowania wszystkich swoich utworów. Zgłaszał swoje, zawsze życzliwe uwagi, proponował nowe tematy i pisał specjalnie dla nas. Dzięki niemu podniósł się poziom i ranga naszego pisma.

Dzień pogrzebu pisarza – 30 maja - był pogodny i słoneczny, nikt nie spodziewał się zmiany pogody. Jednak kiedy kondukt znalazł się na zagorzyńskim cmentarzu zerwał się silny wicher i lunął deszcz. To kaliska przyroda przedziwnym szumem wysokich drzew i nagłą ulewą pożegnała swego piewcę.

Ten numer „Opatowianina” jest poświęcony w całości Eligiuszowi Kor-Walczakowi, choć On go już nigdy nie zobaczy. Pozostaną jednak na zawsze Jego wiersze, baśnie, legendy, opowiadania i odkryta przez Niego część historii Opatówka. Pozostanie pamięć o wspaniałym, niezwykle skromnym człowieku, który bardzo kochał Opatówek.

Jadwiga Miluśka

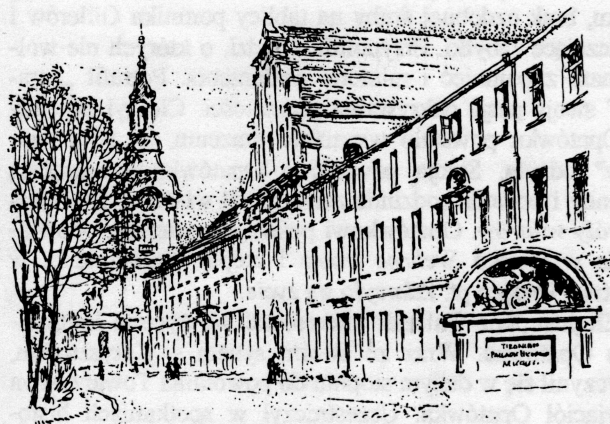


# O twórczości Eligiusza Kor-Walczaka pisali:

Edward Polanowski:

„Tworzyłem utworów Walczaka są własne przeżycia, wspomnienia bliskich i opowiadania przypadkowo spotkanych osób. Ten anegdotyczny moment podwójnie zaważył na całości: zagęścił faktografię opowiadań w celu urealistycznienia sytuacji i rozbudował nadmiernie w niektórych wypadkach warstwę epizodyczną. Chociaż autor stara się ograniczyć komentarz na rzecz samodzielnej wymowy faktów to nie zawsze potrafi uwolnić się od kuszącego postawienia kropki nad „i”, szczególnie w tych miejscach, gdzie nasuwa się możliwość stworzenia przejrzystej symboliki.

Proza Walczaka jest wolna od przerostu stylistycznej ornamentyki. Prostota i powściągliwość idą w parze z celowością słowa. Uważny czytelnik dostrzeże tu rzetelny trud pisarski w wyszukaniu tego jedyne słowa, które łączy walory semantyczne z uczuciowymi. Znamienną cechą opowiadań Walczaka jest ich liryzm, dyskretna poetyckość, która widoczna jest nawet wtedy, gdy autor ukazuje brutalność i bezwzględność ludzi, zmuszonych ponosić konsekwencje czasu wojny i rewolucji.”<sup>1</sup>



*Ulica Kolegiatna w Kaliszu*

„Zasadniczym motywem wierszy E. Walczaka jest jednak pejzaż miejski, mozolnie rekonstruowany przez znaczące realia, okryty patyną czasu, przywołujący co ważniejsze zdarzenia z przeszłości, przepuszczony przez filtr poetyckiej wrażliwości. W pejzażu tym odnajdujemy znajome ulice: Grodzką, Kolegiatną, Kanoniczną, Aleję Wolności, Lipową; oraz budowle: most kamienny, cerkiew w parku, kościół św. Mikołaja, kościół Nazaretanek, pomnik Asnyka. Żywe uczucie budzi również samotna w tym pejzażu jabłoń, pozwalająca na odszukanie więzi człowieka miasta z reliktem utraconego bytowania w bliskości z przyrodą.

Pejzaż miejski, ukazany zazwyczaj w poźlocie zachodzącego słońca i mrokach nadchodzącej nocy, zyskują czasową głębię, stanowi wizualny odpowiednik trwałości ludzkich poczynań i przemijania czasu, który „przeciąga pochodem odradzając życie”. W miejskim krajobrazie walor poetyckości został dostrzeżony w tym, co obrosło wiekami, tradycją, co utrwalone zostało w ustnym przekazie.

<sup>1</sup> z artykułu *Debiut dojrzały* „Ziemia Kaliska” 1969 nr 43.

Wdzięczna to materia dla poetyckiej refleksji, choć zbyt mocno rozrósł się w niektórych wypadkach bagaż historycznych faktów.

Wiersze Walczaka nie wyrastają z ducha awangardy poetyckiej, utrzymywane są raczej w Staffowskim klimacie, mienia się jednak różnorodnością odczuć: od melancholijnej zadumy, poprzez dynamiczne falowanie do groteskowych point. Ich zalety to umiar i powściągliwość, delikatność i pastelowość w wyrażaniu uczuć najbardziej osobistych.

Zasługują na to, by po starannej selekcji i retuszu partii publicystycznych i dyskursywnych, utworzyć tomik, ukazujący w sposób szczery i bezpretensjonalny miasto przez kogoś, kto związał z nim na stałe swoje losy. Znane dotychczas wiersze Asnyka i Konopnickiej, poświęcone Kaliszowi, mają charakter okazjonalny, ukazują w drobnym zaledwie stopniu pejzaż miasta i jego historię.”<sup>2</sup>



*Ulica Zamkowa*

„Wyrastał w atmosferze kultu Reymonta i Żeromskiego, pisarzy którzy do sławy szli ciemną drogą wyrzeczeń, uporu i nadludzkiej pracowitości. Autor „Chłopów” fascynował go do tego stopnia, że urządził wycieczki śladami jego młodości.

Debiutował w „Gazecie Kaliskiej” w 1934 r. Umieszczał w niej nowelki, opowiadania i wiersze. Po wojnie publikował swoje utwory w: „Kurierze Kaliskim”, „Tygodniku Zachodnim” i czasopiśmie turystyczno-krajoznawczym „Poznaj swój kraj”, „Płomyczek”. Najbardziej związał się jednak z „Ziemią Kaliską”, której był współzałożycielem. Tu drukował większość swoich legend, które w 1975 roku ukazały się w formie książkowej. Tom opowiadań „Czas wiosennej mgły” stanowił punkt zwrotny w literackim życiu Walczaka. Przetworzył literacko część własnej biografii, poznał smak pisarskiego debiutu.

Dziedzina pisarsko nie wyrażoną w pełni pozostał jednak najbardziej intymny stosunek autora do miasta, w którym się urodził i w którym mieszka. Nie jest to sentyment do miejsc najbliższych, od dzieciństwa serdecznie znanych, ale głęboka refleksja na temat czasu, któremu jednakowo podlega żywot człowieka i miasta.”<sup>3</sup>

<sup>2</sup> z artykułu *Pejzaż miasta wierszem malowany* „Ziemia Kaliska” 1973 nr 25.

<sup>3</sup> ze wstępu do zbioru wierszy Eligiusza Kor-Walczaka *Pejzaż ze starym miastem*. Kalisz 1973.





Ilustracja do legendy „Kłątwa Świętego Wojciecha”

„Ma zatem niniejszy zbiór walor historyczny i w tym znaczeniu, że po raz pierwszy prezentuje w tak szerokim zakresie legendy i baśni Ziemi Kaliskiej, zostawiając uprzywilejowane miejsce stolicy województwa. Być może kolejne wydania zostaną wzbogacone o nowe teksty nawiązujące do podań i legend miejscowości dotąd pominiętych, a zasługujących na uwagę.”

Teksty zawarte w tomie nie są zapisem folklorystycznym, nie są zatem dokumentem kultury ludowej. Towarzyszyło im już w zamyśle nastawienie literackie, dążność do stworzenia jednolitej wizji artystycznej, zmaterializowanej w specyficznym nastroju i swoistej tonacji stylistyczno-językowej. Stąd nie zawsze mieszczą się one w tradycyjnej konwencji legendowo-baśniowej; niekiedy przyjmują postać relacji historycznej podbarwionej intrygą dramatyczną, innym razem stanowią rodzaj moralistyczno-filozoficznej refleksji, kiedy indziej prowadzą nas w świat uduchowiony, w którym historia spleta się z fantastyką, jakże czasami odległą od tej, z którą spotykamy się w utworach folklorystycznych i wierzeniach ludowych. Aura dziwności łączy się zazwyczaj z refleksją bohaterów nad własnym losem i nad odwiecznymi problemami dobra i zła.

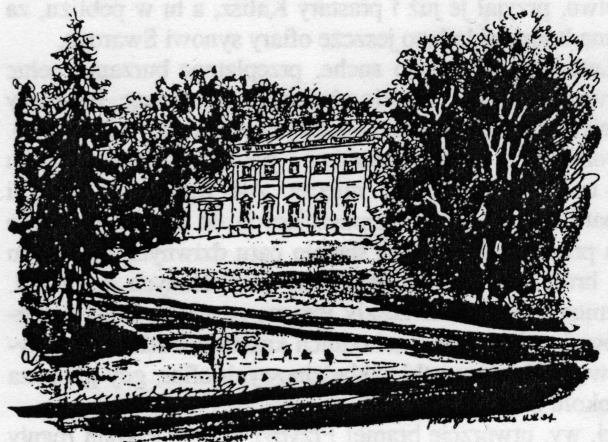
Refleksyjnonastrojowa, a niekiedy symboliczna aura utworów E. Kor-Walczaka nie przesłania ich wigoru, plebejskiej rubasznosci i zawiadiackiej fantazji. Trafnie kreślone postacie bohaterów ludowych odznaczają się dowcipem, fantazją i sprytem, dzięki któremu wielu mędrków zostaje wyprowadzonych w pole. Literackość nie stanowi tu jedynie ornamentacji, jest czynnikiem współtworzącym nasze wyobrażenie o przeszłości najbliższej ziemi, pozwala dojrzeć w nikłych odpryskach dawnych dziejów wielkie dramaty pojedynczych ludzi i całych społeczności.

Legenda i baśń niejako z góry zakładają fikcyjność zdarzeń, ich nikłe prawdopodobieństwo. W *Opowieściach czterech jeźdźców* historyczność stanowi zauważalny rys, a niekiedy dość silny fundament przedstawionych wydarzeń. W większości utworów centralne zdarzenie potwierdzone jest przekazami historycznymi, jego przebieg i pointa są najczęściej dziełem literackiej inwencji.”<sup>4</sup>

„Jest to wszakże proza niezwykła. Z równym powodzeniem mógłby ją pisać jakiś wzięty postmodernista. Jego styl tkwi korzeniami w wieku dziewiętnastym, w naturalistyczno-mistycznych opowiadaniach Dygasińskiego, w metafizycznym agraryzmie wczesnych nowel Reymonta. Ale Kor-Walczak nie bawi się przecież w zblazowanego artystę epoki współczesnej, w której „wszystko już było”. Jest uczciwy wobec czytelnika, acz bez wątplenia w pełni świadomy swojego warsztatu. I nie jest anachroniczny, bo w końcu przedstawia anegdotę dziewiętnastowieczną właśnie: epopeję Opatówka z przelomu epoki gospodarskiej i przemysłowej, kiedy to za sprawą fabryki Fiedlerów miasteczko umarło w swoim dawnym kształcie, by narodzić się w nowym.

Zarazem, ma to posmak pożegnania z narracyjnym wzorcem, któremu autor był wierny przez lata swojego pisarstwa. Pożegnania z aurą wykraczającej poza świat rozumowy fantastyki, grozy, tajemnicy, a także w tym świecie zakorzenionej intrygi, zbrodni lub krzywdy. Takiego Kor-Walczaka znaleźliśmy z *Baśni i legend kaliskich* czy też z *Opowieści czterech jeźdźców*. Cóż epopeje – jest zaś ten tekst przynajmniej mikroepopeją – stanowią również przełamanie tonacji stylistycznej ich twórców, są rozstaniem z ustalonym duktem językowym, z dawnym „charakterem pisma”, na którym polegało się wiele lat.

Czyta się *Miasteczko róży wiatrów* z zapartym tchem i prawdziwym wzruszeniem. Egzotyczne dla obcych, swojskie dla znających te tereny, nazwy miejsc – Dziewcza, Wądoły, Zawodzie – rozsnuwają czar. Budzą wrażenie, że oto dotykamy spletanego prawęzła cudzej i własnej egzystencji. Ale jest też tutaj świetnie skonstruowana intryga pochodzenia, są wątki kryminalno-sensacyjne, a całość przepelnia nastrój zmysłowego erotyzmu, uwikłanego w odwieczną problematykę dobra i zła, winy i kary, kłątwy i odpuszczenia, w ludyczne pnąca grzechu. Jest to epika szlachetna językowo i rzetelnie zakomponowana.”<sup>5</sup>



Pałac generała Zajączka w Opatówku

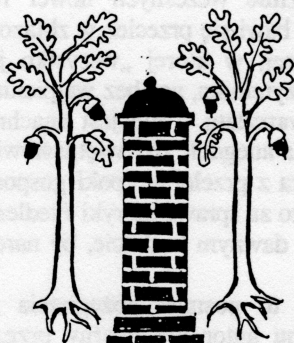
<sup>4</sup> Fragment przedmowy Edwarda Polanowskiego do: *Opowieści czterech jeźdźców*. Kalisz 1987.

<sup>5</sup> Łuszczkiewicz Piotr: *Po balu. (Eseje o literaturze polskiej)*. Warszawa 1997. (fragment)



# Wybrane utwory Eligiusza Kor-Walczaka:

## Jak powstał Opatówek



Z dwie mile od Kalisza, na wzgórzu, z dawien dawna stał małeńki gródek, otoczony podwójnym wałem i palisadą, na planie podobny do pawiego oka. Las, podchodzący nieomal pod palisadę, zataczał ogromny krąg, obejmując okoliczne pola i łąki, wydłużał się niczym zielone pióro i ginał na nieboskłonie. Środkiem owego pióra biegła linia rzeczki otulona cieniem olch i dzikiego zielska, zwana stąd Cienią lub Pokrzywnicą.

Gródek powstał w czasach międzyplemiennych zamieszek, kiedy to ludzie, żyjący dotychczas swobodnie na olbrzymim garbie ziemi ścieśnili swe chaty budowane na zrąb ze smolnego drewna i okolili je obronnie. Mieszkańcy prócz uprawy roli zajmowali się hodowlą krów, owiec i koni. Zwierzęta wypasano na łąkach i w zielonych wądołach, które ongi wyźłobiły jakieś wielkie wody. Ludzie żyli syto pod okiem solarnego bóstwa. A bóstwo było wszechmocne i stało w gontynie pod konarami dwu dębów, co ponoć wyrosły w jedną noc z dwu wbitych w ziemię pali.

Mijały lata i nadszedł wreszcie taki czas, że władcom państwa Polan przestała wystarczać stara wiara, a nawet przeszkadzała w nowej polityce. Wszystkie po kolei miasta, podległe władzy polskiego księcia, przyjmowały chrześcijaństwo, przyjął je już i prastary Kalisz, a tu w pobliżu, za osłoną lasów, składano jeszcze ofiary synowi Swaroga.

Lato tego roku było suche, przeplatane burzami, pełne piorunowych ogni. Ludzie niepokoili się widząc, jak sroży się niebo posłuszne woli Swaróżyca wykutego w kamieniu. Trwożyły ich wieści przemian i pochód dziwnego znaku pod ochroną książęcego miecza. Ale zamiast w bojaźni wypatrywanych wojów zmuszających do chrztu, pewnego dnia przed bramą gródka stanęło paru dziwnych mężczyzn bez broni, w długich sukniach przepasanych sznurami. Promienie słońca nie zeszyły jeszcze ze wschodnich narożników domów, a we wschodnich kątach mieszkań nie ostygły w garnkach resztki zakładzinowych ofiar, gdy głos zza ostrokołu zawołał:

- Hej, wy, otwórzcie bramę! Przybył tu opat zakonu reguły świętego Benedykta z Nursji.

- Skąd? – zapytał strażnik wychyliwszy się z wieży, by lepiej słyszeć.

- Z Nursji!

Strażnik na chwilę się cofnął, porozmawiał z kimś, a potem się znów wychylił i krzyknął:

- Nie znamy takiego miasta!

Teraz z drugiej strony trwała chwilę narada i z gromadki przybyłych wysunęła się postać, odrzuciła na kark kaptur i powiedziała spokojniejszym głosem:

- Jestem opatem klasztoru benedyktynów, a przysyła mnie biskup z samego Gniezna.

- Gniezno, znaczy żeście swoi?

- Swoi.

Zaskrzypiały dębowe wierzeje i garstka przybyszów weszła poza palisadę. Tlum ciekawych stał już po obu stronach wąskiej uliczki, wiodącej nieco pod górę. Przybysze kroczyli wolno, prowadząc konie za uzdy. Do jednego z koni przytroczone były dwie plużyce, których jeszcze nie znano w tych stronach. Tutejsi rataje używali tylko sochy, spoglądali więc z zaciekawieniem na nowe narzędzia orackie. Przybysze obiecali podarować je tutejszym mieszkańcom. Przystanąwszy przed domem starszego gródku, pokazywali wszystkim ciekawą rzecz, którą zwali księgą. Oprawne to było w deski z mosiężnymi guzami. Na cienkich kartkach pergaminu widniały czarne rzędy znaków i piękne kolorowe obrazki. Starszy gródku zapraszał ich do izby, gdyż niedaleko nad lasem ciemniało już niebo i cichy grzmot toczył się po chmurach, ale oni pozostawili tylko pod opieką swe konie, a sami udali się przykładowo do gontyny. Obchodzili jednak Swaróżyca obojętnie, oglądając bożka bez zaciekawienia i strachu. Znać nie był im z wyglądu obcy. Teraz weszli tu może oddać pokłon, a może schronić się przed burzą, a najpewniej, by rozpatrzyć się przed czekającym ich zadaniem. Pod rozłożystymi konarami dębów panowały półmrok i cisza. Ogromne gałęzie przyginane i wiązane widać za młodu, teraz splatały się wzajemnie i tworzyły wielką, zieloną niszę, w której znajdowała się gontyna. Pod jej strzechą, na ścianach z grubych, szerniałych bali, wisiły rogi turze, jelenie i losie, gdzieś tam posasnuwane pajęczyną. Były to dary dziękczynne za udane polowania, czy też może inne sukcesy mieszkańców gródka. Przez otwory okienne śmigły żywo z piskiem jaskółki, a zaniepokojona wiewiórka, przemknąwszy w dół po gałęziach, skoczyła na dyłowy próg i ciekawie przyglądała się przybyszom. Od prześwitów wśród listowia, na ubitej ziemi, wokół posagu bóstwa tańczyły z powiewem wiatru ostatnie świetliki słońca. Pachniało dzikimi goździkami, kwitnącymi czerwono na wzgórzu. Tak wyglądała jedna z pogańskich świątyń Polan, którą mieli wkrótce zburzyć, a na jej miejscu postawić krzyż i klasztor.

Nagle mnisi wzdrygnęli się i przeżegnali ukradkiem. Nie spostreżli kiedy wiewiórka przemieniła się w suchego starca, który zgarbiony, wsparty na kij, patrzył groźnie spod krzaczastych brwi. Wydał im się przeraźliwie biały. Był błądy. Białe włosy pasmami spływały na ramiona, biała broda na piersi. Odziany był w długie, płócienne, słońcem bielone gieszło. W prawej ręce trzymał ofiarny nóż, a lewą, trzęsącą się już od starości, wskazywał ścieżkę biegnącą od gontyny. Surowe oczy pełne były przerażenia i gniewu. Zatrwożeni mnisi zwarli się w gromadkę i stali w niemym oczekiwaniu.

- Wen – wyszeptał wreszcie starzec. - Wen zacharzał nie-nawistnie. - Precz! – wrzasnął wielkim głosem. Głowa mu się chwiała, a usta wykrzywiła wściekłość. - Precz tam pod gromy, pod burzę, niech was pochłonie! - Podniósł obie



ręce ku kamiennemu bóstwu i wolał: - Lelu jasny i ciemny Polelu! Świstu-Poświstu! Swaróżycu! Bijcie w nich z chmury, z wysoka! Strzelajcie białą błyskawicą! Niech szczepną, zginą, przepadną!

Grzmot dudnił już blisko, ale deszcz z rzadka tylko bił grubymi kroplami w liście dębu, strzechę gontyńy, w pył dróżki biegnącej ukwieconym wzgórzem. Głos starca znowu ściszył się do złowrogiego szeptu:

- W wody bijesz, bożyszczu, w drzewa, w ludne chałupy! Bij w swoją gontyńę i we mnie, jeśli brak ci na nich siły. Bij!

Zadrżeli mnisi, przeżegnali się i nerwowo, jakby chcąc chronić swe głowy, nasuwali na nie kaptury. Grzmiało. Jeden tylko opat stał sztywno, bez trwogi.

- Zamilcz, starcze – powiedział. – To słyhać głos naszego Pana. Twój bóg stoi kamienny i niemy.

- Za chwilę sami takimi się staniecie, uragacze!

Ledwie to wykrzyknął pogański wieszcz, gdy nagle pękło powietrze, błysk i huk niby młotem razily gontyńę i powaliły wszystkich na ziemię. Nad głową Swaróżyca zamigotało czerwone światło i dym jak wonny powiew wypłynął pod strzechą.

Z trudem podniósł się opat z ziemi i jeden też podniósł się z braci, reszta była zabita i szerniała. Na progu leżał biały starzec i czarną ręką wskazywał drogę do uroczyska. Martwe oczy patrzyły nieruchomo w niebo, i tylko migotały w nich ognie płonącego chramu.

Mnisi nie oglądając się uchodzili szparko ku gródkowi. Stamtąd leciał już trwożny krzyk:

- Gore!

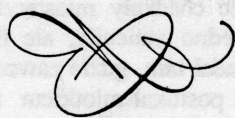
Znalazszy się w kręgu biegnących ku nim ludzi, przystanęli i odwrócili się. Z płomieni uniosło się białe giczło wróża i płynęło drąc się w strzępy na dębowych konarach. Z dala słyhać było szum i trzask ognia.

- Na zgłiszczach postawimy klasztor – powiedział sapiąc mnich do opata i poprawił przemokły kaptur.

- Nie postawimy klasztoru. Nasze tylko będą te orne pola, gumna na zboże i cały ten gródek. Klasztorne będą, opatowskie.

Opat umilkł, wytarł dłonią zmoczoną twarz, przeżegnał płonący chram pogański, a potem dodał w zamyśleniu: - Jeśli dęby wyjdą cało, to między nimi postawimy wieżę strażniczą, stanie się ona herbem grodu, który zbudujemy. Opatówkiem może się zwać. Ale mieszkać w nim nie będziemy. Nieżyczliwe to widać nam miejsce.

- Szkoda – pożałował mnich – bo nadobne prawdziwie.



## Historia uliczki św. Jana

Z wielkiej puszczy, jaka kiedyś szumiała na Ziemi Kaliskiej, pozostały tylko gdzieś niedzie mizerne skrawki. Taki skrawek wiecznego boru uczył się od wieków miasteczka Opatówka i choć zwalczany piłą i siekierą, wciska się uparcie w niskie uliczki, potrząsając zadziornie kudłatymi łbami coraz to nowych świerków, sosen i brzoź. Nigdzie też bardziej w dawnych czasach nie łączyło się życie

ludzi z lasem, polem, łąką i wodą jak tutaj. Na małe domki mieściny od wieków las dostarczał drewna, pola Zawodzia glinę na wylepianie ścian, wapno na bielenie wypalano w pobliżu nad rzeką Trojanówką, ryb dostarczał obszerny staw, a jego wody spływały na wielkie koło mielącego zboże prastarego rodu opatowieckich młynarzy. Od wieków pachniało tu leśną żywicą, chlebem, sianem, rybą i zwyczajnym potem pracowitych ludzi.

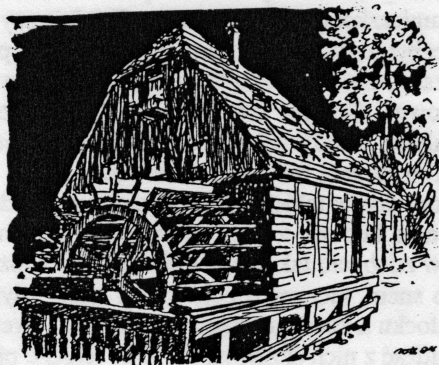
Dawno temu na skraju tego lasu, przy starym cmentarzu, rosły dwa drzewa tak do siebie niepodobne – smukła, po wiejsku rumiana, pospolita sosna i szlachetny, palczastymi liśćmi na strunach wiatru grający jawor. Żyły długo, wiecznie zagniewane na swoje smutne sąsiedztwo, aż przyszedł pewien młody człowiek, co dom chciał sobie zbudować, siekierą je powalił i w tenże sposób sprawę rozsądził. Nic by w tym nie było osobliwego, gdyby nie to, że ów młody człowiek był synem owczarza-znachora, człowieka mądrego i uczonego w czarach. Umiejętności te przechodzą z ojca na syna, ale nie we wszystkim młody Jan, bo imię nosił także jak ojciec, był podobny do starego. Ręce miał sprawniejsze i bardziej czule. Sierotą zostawszy i po ojcu owczarzem, bardziej do gędźby wszelakiej się przykładał niż do owczarskiej roboty. Sercem zaś przywarł do młyna, co skrzypiało u wodnego upustu pilnie a pracowicie. Młyn był stary, zielony od mchów, z lekka upudrowany mąką, ale młynarzówna była młoda, jasnowłosa, upiększona nie pudrem, a własna urodą niby kwiat polnej róży. – Miła, miłuska – szeptał do siebie, bo nigdy nie śmiał zbliżyć się do dziewczyny, gdyż jak i ojciec ludzi unikał i figury przydrożne omijał. W dzień z owcami tylko samotnikował, a wieczorem, ukrywając się w olszynach na młyńskiej grobli, wygrywał tak rzewne melodie, jak to tylko można na fujarkę sprawionej z płaczącej rokitnicy. Długo w noc każdą grał dla swej miłuskiej, a potem szedł spać do dworskiej owczarni, stojącej opodal cmentarza, z drugiej strony miasteczka, i śnił o młynarzównie zasłuchanej w melodie, jakie on grał, a wtórzyły wszystkie drzewa lasu przez niego zaczarowane. Pewnej nocy sen miał całkiem niespodziewany. Śniło mu się, że do owczarni wstąpił w całym blasku anioł o znajomej twarzy. „Jasiu – powiada – postaw dom własny, bo gdzie zamieszkamy po weselu?” Zbudziwszy się z wrażenia, niezbyt jeszcze przytomny, przed świtem pobiegł i ściał najbliższe napotkane drzewa, jakie wydały mu się do budowy stosowne. Gdy już sosna i jawor (bo one to były) zostały powalone, młody człowiek dopiero się opamiętał. Pojął, że te dwa drzewa nie są jego, że trzeba za nie zapłacić i że na dom drzew takich trzeba wiele, a pieniędzy mu brak i miejsca na budowę też nie posiada. Pojął, że nawet i własny dom w zdobyciu tak bogatej panny nie pomoże. Sen zaś jest tylko snem, niczym więcej. Uciał więc jedynie po lokciowym kločku z każdego drzewa, zaniósł do owczarni i zaczął sporządzać z nich skrzypki, które by jeszcze piękniej niż fujarka mówiły dziewczynie o jego miłości i smutku. Wierzch skrzypiec wyciął misternie z przygotowanej deski sosnowej, spód zaś i boczki z jaworowej. Jaworową też szyjkę tej gędźby, kończącą się zwykle ślimakiem, zakończył głową anioła o rysach młynarzówny. Nie można taić, że w tej robocie wielce pomocne mu były owczarskie guśła. Cała ta praca zajęła mu pół roku, ale gdy skończył i pierwszy raz zagrał, umarłe drzewa zapłakały ze skrzypiec jak nigdy nawet w listopadowej wichurze.

Od onego dnia młody człowiek coraz częściej zaniedbywał obowiązki owczarza i – co było w owym czasie połączone – znachora i czarodzieja, stając się powoli ku zdziwieniu wszystkich nikomu niepotrzebnym grajkiem. Smutek go



jakiś niezmożny opadł i do jeszcze większej samotności niewolił. Coś mu serce w piersi tak sparło, jak to czasem z wielkiego przejęcia dech w gardle zapiera. Nie pomogły zamawiania i czary, próbował więc wódką w karczmie uczucie do przepędzić, ale nic nie pomagało. Jedynie gra na czarodziejskim instrumencie dawała jakąś ulgę, bo lzy z oczu wyciskała. Coraz częściej jednak w karczmie przebywał, pił i milczał samotnie, wieczorem zaś, ku utrapieniu młynarza, grał u upustu przy młynie. Kiedy nadziwiwszy się i naśmiawszy do woli ze skrzypka – zalotnika miasteczko przywykło do smutnych melodii, niosących się szeroko wraz ze szumem wody na młyńskim kole, muzykant nagle zniknął. Twierdzono, że rzucił się z grobli do wody, utonął i spłynął z wezbraną falą w dół rzeki. Po upływie roku, jesienią, gdy księżyc toczył się po niebie jak młyńskie koło, olszynową ciszę zmała muzyka skoczna a wesola. To młynarz wydawał bogato za mąż swą córkę. Noc późna srebrzyła się od gwiazd, a z okien domu przy młynie daleko w ogród bezlistny szły przezroczyście smugi złotych światel. O północy, gdy zdejmowano pannie weselny wianek, zaś skrzypki i bastela popiskiwały, chrzypiały i dudniły weselną pieśnią o chmielu – pękły na nich wszystkie struny. Było to tak niezwykle, że aż budzące lęk. Weselnicy, jakby ich coś do tego zmusiło, spojrzeli w okno. Przed godowym domem w złotej smudze stał nieboszczyk Janek, ów zapomniany owczarz, czarodziej i muzykant. W rękę trzymał skrzypce. Płomienie świec straciły nagle swoją jasność, jakby poczęły przygasać, mimo że nikt ich nie dotykał. W tej chwili zjawą w ogrodzie uniosła skrzypki i zagrała. Popłynęła znów weselna pieśń o chmielu, ale tak smutna i rozdzierająca serce, że lez by nie starczyło do płaczu, a słów do uzalania:

Ażebyś ty chmielu, na te tyczki nie laź,  
 tobyś ty nie zrobił z tych panienek niewiast  
 Ale że ty, chmielu, na te tyczki włazisz,  
 niejedną panienkę przez to światu zdradzisz.  
 Oj chmielu, oj nieboże, włazł na tyczki, zleźć nie może,  
 Oj chmielu nieboże...



Ludzie poczęli wychodzić z izby jak w lunatycznym śnie, chwycili się za ręce i utworzyli taneczne koło wokół grającego owczarza. Weselni goście ruszyli w powolny tan, zauroczeni i sztywni jakby ich zamroził chłód. Z koła wystąpiła panna młoda, podeszła do grajka i przytuliła się do jego boku. Tworzyli piękną parę. Jeden tylko młynarz był wolny od uroku i zdawał sobie sprawę z wszystkiego, co się dzieje. Widział wyraźnie, że świece w izbie płoną jak przedtem, ale nie wydają już żadnego blasku. To, że wszystko jeszcze widać, sprawia księżyc, co kładzie zielonkawe światło na ludzi, na chatę, ogród, młyn, groble i

staw. Stary człowiek sądząc, że dzieje się tak za sprawą nieczystej siły, uczynił taki ruch ręką, którego potem do końca życia żałował. Nad stojącą parą uczynił znak krzyża, aby złe straciło swoją moc, ale wypadło to tak, jakby młodych pobłogosławił. Zaległa cisza. Janek przestał grać, a skrzypki upadły mu z rąk na ziemię. Taneczny krąg przystanął, ludzie się poruszyli, zbywszy się swej sztywności i zaczarowania. Wszystko wróciło nagle do zwykłego stanu, tylko zamiast Jana i młynarzówny stały dwa okrągłe kamienne słupy. Zrozpaczony młynarz chwycił to jeden słup, to drugi krzyżąc: - Zbudźcie się! Ale kamienie były tak ciężkie, że nie można ich było poruszyć. Wiatr powiał od lasu, szum przeszedł po ogrodzie, po olszynach i tatarakach. Poleciały ostatnie żółte liście i brzękły leżące w trawie skrzypce. Młynarz wytarłszy lzy podniósł je, wszedł do izby i pełen żalu powiesił na ścianie. I stała się ostatnia dziwna rzecz tej nocy. Skrzypki same zagrały znaną później powszechnie w kaliskich stronach skoczną melodię „Owczarka”. Ludziom przyszła znów ochota na tańce, ale nogi mieli dziwnie zmęczone i ciężkie, poczęli więc w milczeniu rozchodzić się do domów. Młynarz nie był złym człowiekiem i mógł zezwolić na ślub córki z owczarzem. „Czemu on wciąż tylko grał? - dziwił się nieraz mówiąc o Janie. - O swoje szczęście trzeba się starać, a nie tylko o nim marzyć. Przecież nie jestem z kamienia, wszystko bym zrozumiał.” Minał rok jeden i drugi, a kamienne słupy niczym pnie jaworu i sosny stały naprzeciwko okien młynarza, do złudzenia przypominając ludzką parę. Parokrotnie chciał je młynarz z widoku usunąć, ale żadna siła nie mogła ich z miejsca ruszyć. Pewnej jesieni, gdy o północy obudziły go grające skrzypki, pomyślał, że skoro młody owczarz był za życia odludkiem i kapliczki przydrożne omijał, to powinien stać gdzieś przy uczęszczającej drodze, dźwigając na barkach jakiegoś świątka; może nawet swego patrona. Jak pomyślał tak i zrobił. Obstał u kamieniarza figurę świętego Jana Nepomuka, patrona rzek i strumieni. Dwa kamienie które teraz o dziwo – pozwoliły się z łatwością włożyć na wóz, wywiózł za miasto i przy strumyku, obok drogi ku cmentarzowi, umieścił tak, że tworzyły razem postument. Na nim postawił pięknie z piaskowca wyrzezanego świątka. Od tego czasu zaczęły następować szybko jedna po drugiej zmiany. Cmentarz przeniesiono na inne miejsce, starą owczarnię zburzono i postawiono gdzie indziej nową, a przy drodze – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – wyrastały domy. Tak powstała w Opatówku ulica. Nazwano ją imieniem Świętego Jana.

Przez dwa wieki burze chadzały miasteczkiem i minęło parę wojen, które niejedno zmieniły, ale figura świętego Jana Nepomuka stoi nadal tam, gdzie zawsze. Ktoś kiedyś dla próżnej ciekawości postukał młotkiem i stwierdził, że kamienny słup obmurowany jest czerwoną cegłą. Któż jednak może wiedzieć, że to nie jest zastygła czerwień ludzkiego ciała? Mówią też, że Niemcy w ostatniej wojnie zrzucili ze słupa Jana Nepomuka, ale wszystko wskazuje na to, że święty dla okazania im swej wzdargy sam zszedł ze swego miejsca, gdzie postawiono go przed dwoma wiekami, i znikł jak ów zakochany grajek. Wrócił zaś, gdy jeno przyszedł na to czas.

Uliczka jeszcze teraz nosi swą urodną, staroświecką nazwę. Istnieje też jeszcze tamten ród młynarzy, ale czarodziejskie skrzypki zaginęły gdzieś w pokoleniach. Gdyby je kiedyś ktoś odnalazł, niech zawiesi na północnej ścianie domu, gdy wieją złe, jesienne wichry, a skrzypce ku po krzepieniu same wesolo zagrają.



# Piwiarnie i szynki w Opatówku

General Zajączek otrzymawszy od Napoleona opatowskie dobra zajął się energicznie zagospodarowaniem i upiększaniem miasteczka. Ubogie, drewniane osiedle poczęto przebudowywać według nowego planu rzeczywistego miasta, z prostymi, szerokimi ulicami, z miejscem na dużą fabrykę, mającą utrzymywać miejscową biedotę. Dla potrzeb kultury wzniesiono nowy kościół i cukiernię w stylu gotyku romantycznego. Według francuskiej mody cukiernię tę poczęli odwiedzać oficerowie i cała inteligencja zgromadzona przy generalskim dworze. Nie było w dobrym tonie chodzenie do miejscowej karczmy.

Kroniki historyczne odnotowują, że do końca XV wieku w Polsce piwo i miód były naszymi narodowymi napojami. Później przyszło wino z Francji i Węgier dla możnych w dworach i zamkach. W końcu za czasów saskich, kiedy szlachta zdobyła monopol propinacyjny, wódka rozlała się szeroką plagą na wieś i miasta.

Ze śmiercią generała i wzniesieniem przez Saksończyków fabryki sukna, datuje się napływ do miasteczka niemieckiego żywołu z nowymi zwyczajami i inną rozrywką. Na skwerze w pobliżu kościoła i pałacu, w cieniu młodych modrzewi zbudowano kręgielnię a samo wnętrze cukierni przerobiono na Bierhaus czyli piwiarnię. Dzięki temu picie piwa w Opatówku znów weszło w modę a piwiarnie w miasteczku powstawały jak grzyby po deszczu. Początkowo wyczuwszy dobry interes zakładali je Polacy a potem także Niemcy prawdopodobnie ostatnio przybyli, nie mogący już znaleźć zatrudnienia w fabryce.

Pierwszą listę szynkarzy trunków krajowych i domialnych znalazłem w raporcie burmistrza Opatówka do naczelnika powiatu kaliskiego za rok 1831, a więc zaledwie w siedem lat po zbudowaniu fabryki sukna. Oto oni:

Franciszek Rogoziński  
Michał Buncler  
Tomasz Orłowski  
Jan Jabłoński  
Jan Wendt  
Jan Bednarkiewicz  
August Flaeszer  
Bogumił Buncler  
Wojciech Stawicki

Minęło lat trzynaście i wyżej podanym spisie zabrakło aż siedmiu szynkarzy. Pojawili się za to inni. Rotacja była duża. I tak w roku 1844:

„Szynk w Cukierni” (bez nazwiska)  
„Austeria” (bez nazwiska)  
Szynk Rogozińskiego  
Szynk Kralińskiego  
Szynk Witkowskiego  
Szynk Henera  
Szynk Wendta  
Szynk Łyszczynskiego  
Szynk Kowalkiewicza  
Szynk Gillera  
Szynk Cicheckiego

Szynk Żurawskiego  
Szynk Wangi

Po dwudziestu latach, a więc w roku 1864 z powyższego spisu pozostało jedynie nazwisko Rogoziński, i to z innym imieniem, prawdopodobnie syna owego szynkarza. Na jedenaście nazwisk weszły tylko trzy polskie, reszta zaś o brzmieniu niemieckim. Coś to dla władz kaliskich musiało znaczyć, skoro burmistrz Szydłowski pisząc swój raport zaznaczył przy każdym nazwisku wyznanie oraz stan majątkowy. I tak:

Mikołaj Witkowski,	właściciel domu	katolik
Józef Rogoziński	właściciel domu	katolik
Jan Jarkowski	lokator	katolik
Albert Reinsztein	lokator	ewangelik
August Fulde	lokator	ewangelik
Julianna Fieber	lokatorka	katoliczka
Franciszek Gutry	właściciel domu,	katolik
Michał Augsburgier	właściciel domu	ewangelik
Fryderyk Rozenkrantz	właściciel domu	ewangelik
Rudolf Dreszer	właściciel domu	ewangelik
Jan Łapsz	lokator	ewangelik

(nazwiska niemieckie podaję wg pisowni w oryginale dokumentu)

W roku 1866 spis się powtórzył, z tym że w miejsce Jana Jarkowskiego wszedł August Gumpert.

Każdy z posiadaczy piwiarni czy szynku płacił rocznie na rzecz kasy miejskiej w Opatówku opłatę konsensową w wysokości 6 rubli i 75 kopiejek. Nie wiem czy było to dużo czy mało. Podobno za taką sumę kupić można było w owym czasie krowę.

Po około stu latach, w okresie międzywojennym pamiętam także osiem nazwisk posiadaczy piwiarni i jednego restauratora. A mianowicie:

Gumpert  
Pawłowski  
Skiba (posiadał także bilard)  
Smolczyński  
Kantorski  
Mańka  
Sobczak  
Zielińska (bufet kolejowy)  
Ordziński (restaurator, a po jego śmierci na parę lat przed wojną pan Szaliński).

Dziś na terenie Opatówka jest jedna restauracja i jedna piwiarnia, założona zaledwie przed paroma tygodniami, w piwnicy dawnej fabryki sukna<sup>6</sup>. Należy życzyć, aby piwiarnia ta stała się dla miasteczka formą kulturalnej rozrywki i wypoczynku.

Wszystkie powyższe spisy właścicieli piwiarni i restauracji istniały w różnym czasie, dłużej lub krócej, zależnie od koniunktury i zasobności mieszkańców miasteczka.

Na marginesie trzeba zaznaczyć, że w naszym kraju pije się zbyt dużo mocnych wódek a za mało piwa, coctaili i napojów bezalkoholowych. Źle pojęta polska gościnność i pijackie formy samego picia powodują, że w spożyciu mocnych wódek jesteśmy w ścisłej czołówce na świecie.

<sup>6</sup> tekst powstał w grudniu 1990 roku, dziś piwiarnia ta nie istnieje (przyj. red.)



# Rogatka miejska w Opatówku

W sporej odległości od osiedla znajduje się w Opatówku rogatka miejska. Jeszcze jeden zabytek w tej miejscowości z pierwszej połowy XIX wieku.

Ruch budowlany, jaki zapanował w Królestwie Kongresowym pozostawił po sobie w wielu miastach także budynki rogatki wzniesione u wylotu głównych dróg.

Rogatki były miejscem pobierania myta, zwanego też rogatkowym lub kopytkowym. Na rogatkach następowało sprawdzanie paszportów. Straż rogatkowa miała czasem obowiązek zapytywania przybysza o miejsce ostatniego pobytu.

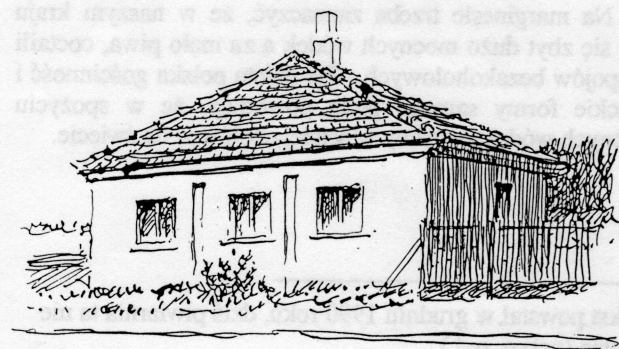
W naszych czasach rogatka w Opatówku była zamieszkała od dziesięcioleci przez „dróżnika” opiekującego się wyznaczonym odcinkiem szosy. Stąd też u nas pewien brak szacunku dla tego zgrabnego, klasycystycznego budynku. Tymczasem takich rogatek w Polsce jest niewiele. Po kilka mają tylko Warszawa i Płock a po jednej – Kalisz, Chełmno, Radom i ... Opatówek, jak podaje „Archeologia prawna Polski” Witolda Maisela (rok wyd. 1982).

„Katalog zabytków sztuki w Polsce” – Polskiej Akademii Nauk, rok wyd. 1960 tak mówi o niej – Rogatka w Opatówku, zbudowana około 1820 roku, murowana, otynkowana. Na planie zbliżonym do kwadratu. Parterowa, nakryta dachem czterospadowym. Drzwi wejściowe ujęte w dwie półkolumnienki. Od tyłu przybudówka z lat 1939-45.

Rogatka była ważnym w mieście obiektem. Od niej zaczynała się lub kończyła granica miasta. Zastanawiające, że rogatka w Opatówku tak daleko od zabudowań zaznacza tę granicę. W Kaliszu stoi ona nieomal w centrum.

Sądzę, że właściciel dóbr, generał Zajączek tak właśnie ambitnie zakreślił na przyszłość rozwój małego jeszcze miasta. Wszak wychowywał się on jeszcze na dworze ordynatów Zamoyskich, co zbudowali piękny Zamość. Czyż to nie mógł być wzór? Będąc teraz tak bogatym, nie trudno było wymarzyć sobie szerokie plany dla stolicy swych dóbr. Nie był jeszcze taki stary. Miał w owym czasie 68 lat. Niestety nie zdążył tego dokonać przez te sześć lat jakie mu do zakończenia życia pozostały. Nikt zaś po nim nie miał już takich ambicji. Dopiero nasz czas realizuje powoli marzenia tego napoleońskiego żołnierza co widział tyle pięknych, dalekich i ludnych miast.

Na zakończenie mam tylko apel do młodego pokolenia opatowian. – Dbajcie o istnienie tej małej pamiątki co pozostawiły nam dzieje, aby ktoś nieświadomy nie zburzył jej barbarzyńsko.



Rogatka w Opatówku

# Młyn nad Trojanówką\*

Noc, bezsłoneczna strona życia, ustępowała wolno i niechętnie. Ciemne plamy jej łachmanów kryły się pośród szarych jeszcze domostw, w uliczkach i małych podwórkach, czepiały się łada przedmiotów, aby opóźnić odwrót. „Rogaty” zanim ostatecznie wylazł spod łóżek pachnących grzechem, chciał pewnie wiedzieć kto nad pacierz poranną chuć przedkłada.

W ciepłą falę ludzkiego lenistwa wchodziło poczucie obowiązku, aby ze wschodem dnia mogło wprawić w ruch miasteczkowe, gospodarne życie. Ten i ów wstał jeszcze burkliwy i zły, ale już słychać było pierwsze trajkoczące po bruku, wyruszające w pole wozy. Z plebanii wyszedł proboszcz, rozejrzał się ciekawie a potem podążył szybko na mszę, schyliwszy głowę, jakby przed kimś umykał. Na czystą otchłani nieba unosiło się słońce, zapowiadając pogodny dzień.

Książę jechał od pałacu w małym, dwukołowym, wózku przypominającym odkryty powozik. Pojazd miał po bokach drzwiczki z herbem i koroną. Stary kamerdyner Mateusz Kulczycki pchał ten pozłocisty wehikuł trzymając mocno za krótki dyszel, gdyż z domów wybiegały ku nim dzieci, a namiestnik pełen uciechy wychylał się raz po raz, to na lewą, to na prawą stronę i wtedy filigranowy powóz chwiał się i balansował po grubym bruku ulicy. Wokół biegła gromada bosonogich dzieciaków, czujnie wpatrzona w ruchy namiestnika. Książę trzymał w ręku srebrną szufelkę, pełną drobnych pieniędzy i bystrym wzrokiem obserwował dzieci. Czasem zamierzył się tam gdzie gromadka była większa, wtedy wszystkie dzieciaki z przeciwka przebiegały na tę stronę, a książę nagłym ruchem rozsypywał datek akurat w przeciwnym kierunku. Następowal chóralny wrzask, czereda przewracając się i kotłując gonila za miedziankami.

- Mateusz – wołał książę roześmiany – nie pchaj mnie w to błoto, omijaj bokiem. – A to bisurmany o mało się nie pozabijają. Po chwili jednak nachylał się znów, nabierał szufelką drobniaki, których koszyk miał w głębi powozu, a potem znów zwodził czujną gromadę manewrowaniem, aby cisnąć w tę stronę, gdzie najmniej się spodziewano. Wózek powoli zbliżał się do miejsca, w którym widziało się już pracę drwali.

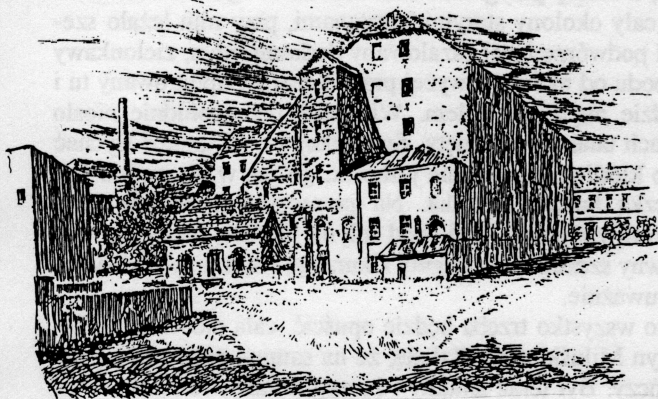
Namiestnik w stolicy nigdy nie kazał się wozic w takim pojeździe. Mimo swych podeszłych lat i drewnianej nogi, którą miał zamocowaną w miejsce straconej pod Berezyną, starał się tam występować godnie, stosownie do wysokiego urzędu i generalskiego munduru. W razie potrzeby potrafił nawet dosiąść konia. Tu, w małym miasteczku, choć pełen jeszcze męskiej dziarskości, mógł sobie pozwolić na wygodę i prostotę inwalidzkiego wózka.

Stary młynarz wstał dziś później. Obudziło go rozbijanie płotu jego ogrodu i rąbanie kwitnących drzew. Zmuszono go wczoraj w miejskiej kancelarii do podpisania zgody na sprzedaż całego ogrodu od ulicy Kościelnej aż po sam dom przy młynie, ale nie przypuszczał, że kupujący Saksończyk weźmie się zaraz do tej niszczycielskiej roboty. Stare jabłonie, które jeszcze jego ojciec sadził, całe w różowych pąkach, grusze jak śniegiem pokryte kwiatami, waliły się zrąbane na trawę sypiąc wkoło tysiącami płatków. Nie mógł na tę zbrodnię patrzeć. Przetarł palcami zażawione

\* fragment *Miasteczka róży wiatrów*. Kalisz 1993.



oczy, wrócił na podwórze, usiadł na ławie przed domem i pograżył się w myślach. Wiosenne powietrze sprowadziło na niego wkrótce drzemkę, sen krótki ale ciężki, przejmujący lekkiem. Z gęstwy ledwie widocznych dębowych kłoców, na których wsparty był młyn wylazł „ON”, „Rogaty” i rozdziawił w głupim uśmiechu wielką gębę miasteczkowego pastucha. W owłosionych łapach trzymał widły, na których skrzepla krew i wisiały resztki sinych, wyprutych z czyjegoś brzucha flaków. Młynarz Miluński wzdrygnął się. Z końca ogrodu dochodził nieustanny odgłos głuchych uderzeń tych przeklętych siekier.



*W miejscu sadu powstała fabryka sukna*

Miluński długo bronił się przed wywłaszczeniem, aż wreszcie pękło coś w nim i poddał się. Obiecywano, że nie zabiorą mu domu i młyna, a bez ogrodu może się przecież obejść. Za wszystko dobrze zapłacą. Kiedy w miejscu ogrodu postawią to co chcą, wzrośnie ilość mieszkańców miasteczka i większe będzie zapotrzebowanie na chleb. Dodatkowo dochód z młyna będzie większy niż ze zbieranych co roku owoców. Miluński nie był chciwy na pieniądze i nie zależało mu teraz na nich. Wiedział, że tej sprawy nigdzie nie wygra, że od dnia ślubu odwróciła się fortuna i nic na to nie poradzi. Westchnął ciężko. Niech się udławia krzywdą. Jego pobladła twarz wyrażała bezbrzeżny żal, jaki czuł w piersiach.

Stary znowu poszedł za węgiel domu patrzeć co się dzieje z drzewami leżącymi pokotem. Na odsłoniętej przez wyrąb ulicy, w niskich drewnianych domach otwierały się kolejno okna. To kobiety słysząc zbiorowe okrzyki swych pociech, wyglądały zaniepokojone, ale wnet pojawiał się na ich twarzach uśmiech zadowolenia. Ludzie z rzadka przechodzący tędy kłaniali się nisko księciu namiestnikowi, a ci co pokłonili się nie chcieli, znikali szybko w najbliższych zabudowaniach.

Po długotrwałych deszczach i chłodach ten ranek narazie był ciepły i słońce przyjemnie przygrzewało. Książę bawił się gonitwą bosonogich brzdąców za pieniędzmi i nie zwracał uwagi na mieszkańców miejsciny. Wysoki, starszy już wiekiem kamerdyner, ubrany z francuska, kolorowo, trochę staromodnie, pchał wózek bokiem ulicy, bo środkiem biegł kanał ściekowy i bruk tam tonął w schnących, podeszczowych bajorkach, w plamach wylewanych pomyj i brudów.

Główna ulica ciągnąca się od słupów triumfalnej bramy, wzniesionej na przyjazd do Kalisza cara Wszechrosji i

króla Polski – Aleksandra I-go, poprzez rynek i dalej aż po wiatrak Rolińskich na końcu miasteczka, wybrukowana była kamieniem polnym.

Szczeliniasty, mocno zniszczony bruk, mimo, że był częścią głównego traktu z Kalisza do Sieradza, od wiosny już zarastał kępkami trawy i chwastów. Wyglądało to jakby książę idąc z procesją na Matkę Boską Zielną machał na prawo i lewo ogromnym kropidłem umaczanym w zielonej farbie i w ten sposób ubarwił szarą wstęgę ulicy rozdzielającą zabudowany teren na dwie połowy.

Miasteczko, zanim jeszcze zostało ustanowione przez biskupa Bogorię ze Skotnik, trwało tu przez wieki osiedlem ludzkim, zawsze w tym samym miejscu, tylko czas unosił jego historię w niepamięć, zacierał zdarzenia, które nie wpisywane w księgi gubiły się w przemijaniu. Obecnie składało się ono z dwóch części – wielkiego dworu, pełnego murowanych zabudowań, okazałego parku i pałacu księcia namiestnika, którego pięknych pokoi nikt z prostych ludzi nie oglądał, oraz z samego miasteczka z parafialnym kościołem, plebanią i paroma ulicami wzdłuż gościńca, biegnącymi gwiazdźście ku rynkowi.

Po głównej linii traktu płaski obszar ziemi przechylał się na jedną stronę, jakby chciał zrzucić do rzeczki te stare, drewniane, najgorsze domki, pozostawiając na górze rzędy ładniejszych, malowanych na biało lub błękitno i te najokazalsze kamieniczki z czerwonej cegły. Mimo, że stok był spory, niektóre biedniackie domki zdołały przeskoczyć szeroki strumień i przysiadły po drugiej jego stronie, tworząc coś w rodzaju przedmieścia zwanego Zawodziem. Z góry od prostokątnego rynku biegła ku Zawodziu polna droga, klamrą mostu przy wodnym młynie spięta na tym strumieniu czy rzece najrozmaiciej nazywanej – Stawka, Cienia czy Pokrzywnica. Tu grobla i stawidła tak spiętrzyły wodę na niskim przedpolu łąk, że powstało wielkie oko stawu, którego żrenicą była okrągła wysepka zarastająca olszyną i krzewami. Mówiono, że na kępie tej mieszka „On”. Wszystko wskazywało, że tam Rogatego nie ma, ale tak mówiono, bo wiele miejsc w miasteczku miało coś z zaświata. Rosła tam wśród trzech olszyn stara, garbata wierzba z ogromną, na pół szerokości drzewa dziuplą. Nocami na wiosnę próchno dziupli świeciło z dala księżycowym światłem, dopóki go w końcu nie przysłoniły wysoko wybujałe trzciny i gęste listowie olszynowych krzaków. Młynarz wiedział, że czartowski śmiech dochodzący stamtąd wieczorami, jest tylko głosem wydry.

Staw był od dawna powodem sporu trzech właścicieli: miasteczka, w którego władaniu był teren; młynarza, który miał pieczę nad wodą; dworu – właściciela ryb. Kto to ustanowił nie było wiadomo. Faktem jest, że sporu tego nigdy nie był w stanie rozstrzygnąć żaden sąd i w ten sposób staw ratował swe istnienie. Miastu bowiem bez zgody młynarza nie zezwolono by na pozbycie się wody, zaś młynarz nie mógł spuścić całkowicie jej bez zgody dworu, a dwór nie mógł wyłowić wszystkich ryb, bo stracił by prawo do stawu.

Na narożnym miejscu pochyłości, gdzie schodziła się główna ulica z piaszczystą drogą Zawozia niszczone właśnie kwitnący sad, ciągnący się w dół aż do samego młynarskiego, dobrze zagospodarowanego obejścia.

Właścicielem sadu, zabudowań, wodnego młyna i wielkiej wody był Walentyn, potomek starego rodu Miluńskich. Miluńscy, od wieków młynarze, jak głosiła ich rodowa legenda nazywali się ongiś Konwickimi, a jeden z nich był nawet burmistrzem Kalisza. On to w dobie „wielkiego powietrza” nie uciekał chyłkiem za mury, jak to czynili



rajcy miejscy i wielu obywateli, a wierny miastu do końca, w ostatniej godzinie siniejącymi palcami, sam skreślił węglem na drzwiach swojego domu czarny krzyż – znak zarazy. Otóż ostatni z rodu Konwickich, kawaler młody i obrotny, dorabiał okresowo wożeniem okowity z Polski do Prus. Będąc za granicą poznał tam wielce urodziwą pannę, córkę bogatych rodziców, pozyskał względy i wiedząc, że nie otrzyma ukochanej drogą legalną, postanowił ją wykraść. Panna opuściła nocą dom rodzinny, kawaler umieścił ją w wymoszczonej sianem wielkiej kufie po okowicie i przemycił przez granicę. Na dalekim postoju, gdy minęło niebezpieczeństwo, wydobyl dziewczynę z beczki zupełnie pijaną. Zapach okowity, którym nasiąkła kufa był tak silny, że pannę całkowicie upoił. Późnym wieczorem niesiona na rękach przez umiłowanego do zajazdu na trakcie, głaskała go tylko po twarzy powtarzając w kółko półprzytomnie – Mój ty miluśki, mój miluśki. Zapamiętał to sobie kawaler i przybywszy do rodzinnego miasteczka w obawie przed interwencją władz pruskich, załatwił u miejscowego proboszcza, prowadzącego księgi parafialne i w ratuszu zmianę nazwiska Konwicki na Miluśki. Rzeczywiście, na gończe pismo starościńskie czy zamieszkuje w miasteczku niejaki Konwicki, odpowiedziano zgodnie z prawdą, że takie nazwisko nie figuruje w rejestrze mieszkańców.

Młynarz schodził wolno ogrodową ścieżką w dół ku domowi. Z pozostałych nie zrąbanych jeszcze jabłonek padały różowe płatki, gdy głowa lub ramię starego zawadzało o gałęzie. Raz po raz oglądał się dyskretnie za siebie, bo książę dojeżdżał już do zakrętu i przestał rozrzucać pieniądze. Robotnicy przerwali ścinanie drzew zdejmując czapki na znak szacunku. Kulczyński przystanął, a książę wskazując mu ogród Miluśkiego powiedział: - Tu będzie stała fabryka sukna. Saksończycy ją postawią. Jest woda zdatna dla folusza. Jest tu trakt dogodny na wschód i zachód. Tu też droga na Brzeziny i Zajączki, gdzie koloniści będą kupować od nas drewno na budowę i opał. Folwarki nasze zajmą się owczarstwem, a nadmiar biedoty znajdzie utrzymanie.

- A ten? – wskazał głową kamerdyner postać migającą wśród ukwieconych gałęzi.

- Tego się wywłaszczy – zakończył rozmowę książę i skinął ręką do powrotu.

Młynarz przyspieszył kroku i nie oglądał się już. Z pobliza wznosił się szum spadającej na koło wody i klekot pyłta we młynie.

- Walentyn. – Dzisiaj znów nocowała u ciebie Orszula – przywitała go żona, wsparłszy się wyzywająco rękami pod boki, co go niezmiernie drażniło. Kobieta wiecznie chuda i zgryźliwa od jakiś wewnętrznych chorób, stała u progu jego rodowitego domu, zbudowanego z ciężkich, modrzewiowych tramów, splekanych i ciemnych od starości. Dom duży i ciężki wyglądał jakby był ostatnim, który w czasie narodzin miasteczka, stoczywszy się ze stromizny, zmęczony i zapóźniony, a może tylko opasty, nie zdołał przeskoczyć rzeczki i stał na osobności w sąsiedztwie niskich budynków gospodarczych i grubego też młyna, pana okolicznych wód. Dom był tak do niego bokiem ustawiony, jakby niewiele miał z nim wspólnego. Istna para niedobrych małżonków.

Na wykrzykiwania żony młynarz, jak zwykle, broni się milczeniem. – Ta chata jest odwieczna – myśli, aby nie wybuchnąć brzydkim słowem. – Ile jeszcze mogłaby wytrzymać, sto, dwieście lat, a może i drugie tyle. Zdawało się, że młyn zawsze był, jest i będzie. Według zapisów w annałach miejskich, przesłanych przez poprzedniego

jeszcze burmistrza, już w czasach Wacława czeskiego wyznaje niejaki Włosko z Cieni, że nie ma żadnego prawa do młyna i stawu. Za panowania wielkiego króla Kazimierza przysądzono arcybiskupowi z Gniezna należące do młyna pola i część rzeczki Cieni (czyli Stawki) – od tegoż młyna aż do mostu zwanego „Babino”. Gdzie ten most się znajdował, dziś już nie wiadomo, bo złe moce podczas wielokrotnych powodzi zniosły go ze szczytem, tak, że wszelki ślad po nim zaginął. W annałach też zaznaczono, że za Zygmunta Wazy, gdy tu podstarościem był pan Miłaczewski, miasto płaciło podatku od dwóch kół młyńskich po dwadzieścia cztery grosze.

Słońce oświetlało pół ogromnego dachu, krytego gontem, a resztę przygaszał cień kasztanowego drzewa. Dom był cały okolony starymi kasztanami, przy nim leżało szeroki podwórze i stał oszalowany deskami młyn, zielonkawy u spodu od mchów a wyżej prawie czarny, upudrowany tu i ówdzie mącznym pyłem. Wiosenne przedpołudnie niesło zapach tataraków i mięty. Spod okapów od gniazd słychać było kłótlive ćwierkanie jaskółek, gdzieś w olszynach nad rzeczka kukła kukulka. Na piaszczystym brzegu, przy bełkotliwie uciekającej spod młyna wodzie, kręcił się wędrowny szczur. Dwa koguty z kurzego stada przyglądały się mu uważnie.

- I to wszystko trzeba będzie opuścić, całą ojcowiznę. Walentyn Miluśki domyślał się, że na samym ogrodzie się nie skończy. Był teraz smutny i zrezygnowany, chociaż wczoraj jeszcze plotce nie wierzył. Odgrażał się nawet, że napiśse do samego cara.

- Ciekawe kto byłby sprawiedliwszy – car czy Napoleon. Pewnie jednak car. Zresztą diabli wiedzą. – Francuz zrobił tego oficerka generałem i dał mu tutejsze dobra, a Ruski też mu ich nie odebrał, mianował księciem i swym w Polsce namiestnikiem. Nie ma żadnej siły na takiego psubrata. Wyrzucą, puszcza z torbami, a Niemcy na tej ziemi będą się panoszyć.

Młynarz przystanął, spojrzął na niedawno rozwinięte, palczaste liście kasztanów, na młyn, jeszcze raz na dom i teraz dopiero przypomniał sobie pytanie żony. Podszedł bliżej, jeszcze raz przystanął a potem wolnym krokiem, mijając milczącą swą kobietę wszedł do izby i usiadł ciężko za stołem.

- Pytam się, czy ty wiesz co robisz? Co powie na to kiedyś nasz Szymek?

Młynarz jednak dalej nie odpowiadał. Oparł się łokciami o grubą topolową płytę stołu i pięściami zakrył oczy.

Miał już przeszło pięćdziesiąt lat, a nie mógł się pozbyć myśli o tej dziewczynie. Czy miał teraz głośno powiedzieć, że był chyba wystraszony a jednak jakoś cieszył się, że przyjęła jego propozycję zamieszkania przynajmniej jakiś czas we młynie. – Trzeba mieć trochę litości mówił sobie a jednocześnie myślał, że nie na próżno ludzie w miasteczku mówią – Orszulka rzuca czary. Może i rzuca. Nie miałaby tak pięknego ciała, co wydaje się mieć w sobie światło. On jest już stary, a chyba go też oczarowała. Co dopiero koczykarzy, chłopców młodych, samotnych.

- Walek, czy słyszysz, co do ciebie mówię?

- Zmów sobie pacierz, aby cię złe myśli nie nachodziły – odezwał się wreszcie mrukiwie a jednocześnie pomyślał, że i jemu przydałby się taki pacierz. Pamięta ten widok nad ranem, co wytrącił go z równowagi. Dziewczyna musiała twardo spać, gdyż nie czuła na sobie jego oczu. Nie czuła, że ramiączko koszuli zsunęło się, a od okna słaby blask zorzy tak ubarwił jej pierś krągłą i dużą, jakby nabrzmiała jakimś cudownie różowym mlekiem widocznym przez



skórę. Nawet lojówka w glinianym naczyniu świeciła jakby dziesięć takich. A któż mógł podsycać jej płomień, by on co tylko raz kiedyś w młodości widział nagość pięknej kobiety, mógł teraz oglądać cudowna wypukłość sutki obwiedzionej złotawą aureolką jak promieniem gwiazdy. – Grzeszny jestem pewnie bardzo, skoro zle ma nade mną takie władanie. – Boże bądź miłościw.

- Waluś – starała się teraz mówić łagodnie żona – czemu ty ją przetrzymujesz. Ona wszystkich kusi. Pamiętaj, że choćbyś nie chciał, to ciało samo Ignie do grzechu. A cielesnością najbardziej człowiek równa się bydłom. Wygnaj wszetecznicę do diabła.

- A cóż to, nie twoja krewna? – spytał młynarz położywszy wielkie pięści spracowanych rąk na stole. – Nie twojej to siostry córka, nie twoja chrześniaczka? Czemuś ją z domu wypędziła? Trzeba mieć trochę litości.

- Pewnie i tobie co zadała – powiedziała smutnie żona, z rezygnacją kiwając głową. Ze też się święta ziemia pod nią nie rozstąpi.

- Co też ty mówisz? Bój się Boga – wyszeptał ze zgrozą młynarz. Nastąpiła tak długa cisza, że w niej zmieściło się aż dwa razy głośnie pianie koguta.

- Marcjanno. Namiestnik oglądał nasz ogród. Niemcy już go rąbią. – Walentyn starał się zmienić przedmiot rozmowy.

- Widziałam. Ukarze nas Pan Bóg, ukarze. Nie będzie ogrodu, nie będzie domu, nie będzie młyna, będzie fabryka. A, że Pan Jezus na Niemców nielaskawy, to i fabryka się spali, a od niej całe miasto pójdzie z dymem. Każdej Sodomie taki los będzie zgotowany. Za co się niebo ma nad nami litować?

- Ty mi żono dzisiaj daj spokój. Miałem ją wygnąć na deszcz i ciemnicę? Czy już w sercu nie masz Boga? Chcesz ją też ukamienować? A może ona wcale nie jest taka grzeszna, tylko my tak na nią grzesznie patrzymy? Przecież nie jest nic winna. Co, ma się utopić jak matka?

- My tak na nią grzesznie patrzymy... – powtórzyła z ironią kobieta. – Ja tak na nią nie patrzę. Dobrze, że chociaż ty się do tego przyznajesz.

Znowu nastąpiła cisza. Mężczyzna był wzburzony, głośno sapał i odwróciwszy głowę od równie rozgniewanej żony, patrzył ze ściągniętymi brwiami przez otwarte okno na gnojownik, na który ktoś niewidoczny wyrzucał ze świńskiego chlewa błyszczące wilgocią pacyny nawozu. Uporczywe pochrząkiwanie przeszło nagle w wysoką nutę kwiku. Słychać było głuche uderzenie kija i basowe, belkotliwe dźwięki mowy. Gospodarz zacisnął wargi potrząsając z niezadowolaniem głową. Nie podobał mu się już dawno ten parobek niemowa. Żona stała milcząca, przodem do kuchennego pieca, wpatrzona w słabo tlejące resztki torfu. Zastukało coś niepokojącego w sieni i w drzwiach stanął brodaty żebrak udający niewidomego, ze swą dziobatą żoną. Przychodzili oni zwykle w poniedziałki, kiedy w kuchni pozostawało coś lepszego z niedzielnego obiadu. Ta regularność stwarzała podejrzenie, że młynarzowa specjalnie w niedzielę więcej gotuje, aby godnie przyjąć dziadów, wciskając im jeszcze pieniądze w kieszeń. Takiej hojności innym żebrakom Marcjanna nigdy nie okazywała. A może wymuszali ją mużnę jakimś zastraszaniem, może groźbą ujawnienia kompromitujących postępów kogoś z rodziny? O kogo mogło chodzić, czyżby o Orszulkę, czy o Dobrochnę? Młynarz był ciekawy, ale nigdy z żoną nie poruszał tego tematu.

Walentyn wstał ciężko i mijając bez słowa kłaniających się dziadów, wyszedł z domu kierując się ku młynowi. Tu

pierwszy raz się tego dnia uśmiechnął. Szymek, dziesięcioletni synek, pozamiatął już podłogi i siedział teraz na mącznej skrzyni odwrócony plecami, usiłował dokończyć zaczęte przez ojca zszywanie grubego pasa rzemiennymi trokami. Nie dawał sobie z tym rady, ale ojcu podobała się ta jego chęć do pracy. Z czwórki dzieci jakie urodziła mu żona, został tylko ten jeden najmłodszy. Trójkę starszych skosiło jak i połowę mieszkańców miasteczka morowe powietrze. Chłopak spostrzegł ojca i zarumieniał się widząc, że wziął się nie do swojej roboty. Ale młynarz kiwnął tylko głową i zapytał – Jest jeszcze?

- Siedzi na górze i płacze – rzekł flegmatycznie Szymek i zacisnął śmiesznie usta jak bardzo zajęty robotą czeladnik.

Młynarz przecesał palcami wasy, pomyślał chwilę i nie spiesząc się wszedł wolno na poddasze. Orszulka jednak nie płakała. Stała opodal uchylonego okienka patrząc gdzieś ku kościołowi. Posłyszała widać wujowe kroki, bo drgnęła, ale się nie odwróciła. Rozmyślała nad czymś dalej, kołysząc swą powabną postacią. Na zewnątrz szumiała głośno spadająca woda i skrzypiało wielkie koło. Były tam jeszcze wyraźne ślady istnienia niegdyś innych kół, chociaż na pewno mniejszych. Młyn chodził i dygotał, pachniał stęchłą mąką i rozsiewał w swym rozslonecznionym od okienek wnętrzu nikłą mgiełkę białego pyłu. W dole pewnie woda połyskiwała w słońcu, bo szły od niej ukośnie na deski ścian i głowę Orszulki srebrne "zajaczki" – ruchliwe plamy odbitego światła. Dziewczyna co chwilę mrużyła oczy, przyglądając się czemuś uważnie. Do opuszczenia zbliżała się ruda Tekla, komornica od Marszałów, niosąca z trudem szaflik bielizny. Postawiła go na płaskim kamieniu, gdzie zwykle kobiety z Zawodzina przychodziły kijankami prac, otarła ręką spocone czoło, rozejrzała się i stwierdziwszy, że nikt nie patrzy, podniosła wysoko swą grubą kieckę, aby się ochłodzić. Wiewając nią co raz ukazywała złotowłose łono, jako że od wiosny do jesieni kobiety w miasteczku według zwyczaju nic pod spodem nie nosiły.

- Co sprawia, że jestem taka grzesznie ciekawa? – zadaje sobie pytanie dziewczyna – że grzech wchodzi we mnie przez oczy?

- Zjadłaś już śniadanie? No, nie zjadłaś. Jak przyniosłem tak stoi. – W głosie Walenta słychać było troskę i tkliwość.

- Ksiądz chodzi po plebanijnym ogrodzie – stwierdziła zgodnie z prawdą Orszulka, z trudem odwróciwszy od Tekli nieposłuszne spojrzenie.

- Nie i niech sobie chodzi. Bóg z nim. - Miluśki nie darzył sympatią tego nowego, pewnego siebie kapłana. Proboszcz był światły, gospodarny, a nawet podobno niezbyt pochlebnie wyrażał się o księciu generale, ale młynarz miał do niego żal za krzywdę wyrządzoną szwagierce i Orszuli.

- Jakby mnie wezwał, to bym poszła do niego na służbę – rzekła z determinacją dziewczyna.

- Ale jakoś cię nie wzywa.

- Ja też umiem gotować. Nie zawiódłby się na mnie, jak i nieboszczyk prałat na mojej matce. Może go sumienie ruszy.

Młynarz zmarszczył brwi i milczał, więc Orszulka do-dała jakby się usprawiedliwiając – Przecież, chyba rozumie, że nie po chrześcijańsku z nami postąpił. A ja się nie mam gdzie schronić.

- Masz mnie, ja cię nie dam skrzywdzić.

- Tak wuj mówi, ale sam się boi ciotki. Przecież to ona dopiero co wyrzuciła mnie z domu.

- Jakoś się temu zaradziło.

- Wiem, wiem. Mieszkam już przecież we młynie razem z kotem i szczurami. Ludzie się z nas śmieją.



Młynarz poczerwieniał. – Głupcy się tylko śmieją. Nie dam cię skrzywdzić nikomu i basta.

- Boję się ciotki, boję się was, boję się wszystkich ludzi. Orszulka wybuchnęła głośnym szlochem i nagle w wielkiej desperacji rzuciła się ku schodom.

- Czekaj, coś ci powiem. – Młynarz zagroził ciałem drogę, ale dziewczyna odsunęła go i zbiegła na dół. Stary ruszył za nią, zawrócił jednak, bo w górę piał się woźny miejski Onufry.

- Co ta dziewczyna tak lata po młynie. Pochwalony Jezus Chrystus. Aż mnie zatkało od tych schodów. Niosę wam znów paskudny papier. Niedobre wiatry teraz wieją. Raz ze wschodu, raz z zachodu, niedobre przeciągi. Bóg wie co z tego jeszcze będzie. Ze wszystkich stron obcy się zjeżdżają – Niemcy, Czechy, Ruskie.

Onufry był znany ze swego gadulstwa. Dużo wiedział, choć wyrażał się nieraz dziwnie. Co za myśli jednak teraz kłębiły się w tej jego nieforemnej i wielkiej jak dynia głowie. Był wyraźnie speszony i twarz nabrała rumieńców. Miluński, choć doznał krzywdy od tego człowieka nie czuł ani nienawiści, ani żalu. Najwyżej wzgardliwą obojętnością, mimo że został bez pieniędzy. Nie było mu też teraz pilno do czytania owego „paskudnego papieru”; wskazał woźnemu worek ze zbożem, aby na nim usiadł, sam zaś oparł się o mączną skrzynię, jakby czekał na jakieś nieoficjalne wieści z ratusza.

- Tak widzicie, byli kiedyś opaci z reguły świętego Benedykta – Onufry, podnosząc wysoko brwi, zacierał potokiem słów to swoje speszenie, potwierdzając tym chyba słuszność ludzkich domysłów.

- Potem był biskup Bogoria, jak ten miłowy słupek. A teraz jest nasz kochany książę namiestnik, co za wojaczkę dostał tutejsze dobra, które upiększa i wyposaża sownie. Zamek biskupi, pamiętamy te ruiny, przerobiony na piękny pałac. Marmury, rzeźby, malowidła. Ale to wszystko tylko niewiele dawało naszemu miasteczku. Dla niego czas był stale jałowy. Dopiero ten rok, bądźmy sprawiedliwi, dzięki księciu staje się tu jakiś ogromniasty. Wszystko przemienia, a nam małym ludziom każe biegać po tych uliczkach, nosić swoje ciężary jak mrówkom, bogacić się lub biednieć, żyć uczciwie albo grzeszyć.

- Dajcie ten papier – zniecierpliwiał się młynarz, widząc, że przybysz coś kręci, opowiada to, co wszystkim oczywiste i wiadome, pozwala sobie na jakieś przymówki.

Miluński czytał pismo powoli, uważnie a potem odwrócił głowę, jakby chciał ukryć łzy i wymamrotał:

- A niech was wszyscy diabli...



## Zimowy wieczór

Stary burmistrz miasta Opatówka zbudził się z trochę przydługiej, poobiedniej drzemki. Przez zmarznięte szyby przecieka blade światło odbite w bieli śniegu. Izba wystygła, szedł mróz, a tu jeszcze trzeba było przygotować dla kurierki do naczelnika Wojennego Oddziału Kaliskiego tygodniowy raport o wypadkach w mieście. Leżący na pierzynie kot Katon zeskoczył z łóżka i miauknął.

- Ponaglasz mnie Katonku. Masz rację. Rusz się. Stasinku – pracuj dla Jego Wysokości – zachęca się rozważnie burmistrz, ziewając. Mimo to leży dalej i rozmyśla o niespokojnych czasach, jakie od paru tygodni nastąpiły, o ogniach biwaków powstańczych rozpalających się w lasach, o pożarach znaczących już przejście wojsk. Kot z powrotem wskoczył na łóżko i ociera się przymilnie o rękę pana.

- Nie pocieszaj mnie polityku – rozpoczął znów monolog jak to czynią ludzie starsi mieszkający samotnie. – Ja ci to mówię, nic dobrego z tego nie wyniknie. W listopadowym była zbrojna armia, byli wspaniali wodzowie i co? Uciekało się przez Wisłę, gdy Paskiewicz przycisnął. Tak kocie, ja mam zawsze rację.

Stary siada na łóżku i zamyśla się. Przypomnił sobie dziwne zdarzenie, które kazało już wtedy baczniej przyglądać się wrogowi.

Uszedłszy z kapitulującej już Warszawy wraz z kolegą z rozbitego batalionu, zostali schwytani przez spotkany patrol nieprzyjaciela i odprowadzeni do kwatery pułkownika.

Zajmował on niewielkie osiedle leżące na drodze praskiej i nie spieszył się do boju. Jego żołnierze, mimo białego dnia, leżeli po sadach, palili ogień lub czyścili broń. Moskiewski dowódca dowiedział się już o przychwyceniu „języka” i oczekiwał jeńców z niecierpliwością na werandzie plebani, chodząc nerwowo wokół marmurowego stolika. Gdy ich wprowadzono, podbiegł i z jakąś źle ukrywaną radością począł dopytywać się gorączkowo:

- No, jak tam Polaki, trzymają się dzielnie, trzymają?

- Nie, poddali się – odpowiedzieli jeńcy.

Poddali się? Ach wy... takije charoszyje sądaty, a idut w plien. A ja dumał szto Paliaki chrabryje. Paszli wy k'czortu.

- Tak Katonku, to niezły musiał być Moskal – dekabrysta – zawyrokował głośno pan Stanisław. – A dekabryści nasi bracia – rozumiesz? Mówiąc to wstał niechętnie z posłania, narzucił szlafrok, namacał w nim szwedzkie zapalki i począł pocierać o ścianę nasiarkowane drewno. Dopiero trzecie czy czwarte zaświeciło złotym płomyczkiem, od którego zapalił świecę na porcelanowym lichtarzu. Stary czekał chwilę, aż przeminie oślepienie blaskiem, podszedł do kredensu, wyjął z niego kubek z wywarem jakichś ziół,



powąchał podejrzliwie i zaczął się zachęcać do wypicia. Napój był zimny i gorzki.

- Stasinku pij regularnie. Pan felczer mówił, że to jest bardzo pomocne na twe dolegliwości. Jeśli Stasinek lekarstwo wypije to dostanie nagrodę, dostanie wiśniaczku. Naprawdę dostanie.

Niebawem karafka wiśniaku i pełny kieliszek stanęły na stole.

- No, a teraz Stasinek miksturę połknij, chociaż to niedobre Katonku.

Przy szybkim jednak picciu lekarstwa pan Stanisław zakrztusił się i zakaszlał głośno, co sprawiło go tak zły humor, że wyciągniętą już rękę po kieliszek kuszącej rubinowej wódki nagle cofnął i zaczął strofować kota.

- I cóż mi się tak przyglądasz? Wiem, co myślisz Katonie. No powiedz, że gdyby Stasinek wiśniaczku nie widział, toby ziółek się nie napił. Tak myślisz prawda?

- Miauu – odezwał się kot.

- No nareszcie jakieś ludzkie słowo. Tak masz racje. Miał twój pan ochotę na wódeczkę. Ale to łakomstwo. A łakomstwo jest grzechem. – Może nawet ciężkim grzechem. Trzeba pana ukarać i złać winiaczek z powrotem do karafeczki. O!

Stary urzędnik nauczony przez lat dziesiątki szanować wszelką władzę, jest konsekwentnie posłuszny i własnym nakazom. Przełał, choć z żalem, wiśniówkę do karafki, schował szkła do kredensu, podszedł do niskiego okna i długo, mozolnie chuchał i przecierał palcem krządek miejsca na szybie, przez który wreszcie mógł spojrzeć na ulicę.

- Wiesz Kato, śnieżek wali aż strach. Zadyмка, Chryste Panie! Gdzie te biedne powstańcyki się popodziejają w taki czas. A dobrze im tak. Mówilem nie zaczynać, nie buntować się, może Najjaśniejszy Pan łaskawiej by na Polaków spojrział. Kto to wie. Zima wymrozi, wydusi ich w lasach i śnieg wszelki ślad zasypie. Ale my się w to Katonku nie mieszejmy. W Listopadowym było znacznie lepiej, a i tak nic z tego nie wyszło. Czapkami ich Moskale zarzucają. Zapamiętaj sobie koteczku, że ja temu nic a nic nie jestem winien. No a teraz marsz do kancelarii. Trzeba brać się do pracy.

Burmistrz wziął ze stołu lichtarz, wstrzymał przez chwilę oddech, nasłuchując wzmagającego się za oknami wiatru i pokręciwszy z niedowierzaniem głową przeszedł do następnego, dość dużego pokoju, przegrodzonego na dwie nierówne części z drewnianą balustradą. Mniejsza część od drzwi wejściowych była przeznaczona dla interesantów, większa gdzie mieszczą się ciężkie, dębowe stoły i szafa na akta stanowi biuro. Na centralnej ścianie naprzeciwko drzwi wisi duży portret cara Aleksandra w koronacyjnym stroju, a pod nim stoi wielka, okuta żelazem skrzynia, która służy za kasę miejską.

Pan Stanisław usiadł przy jednym ze stołów, przygotował papier, podniósł pod światło kalamarz z atramentem, i stwierdziwszy, że inkaustu jest dostateczna ilość, wziął z cynowego, staroświeckiego kubka największe jakie w nim było gęsie pióro i wydostawszy z kieszeni spodni nożyk, żydkiem zwany, zaczął nim sprawnie je przycinać.

- Co też Katonku ludzie nie wymyślą. Wyobraź sobie, że gdzieś za morzem wynaleźli stalowe pióra. Taaak. Sprytni Anglicy fabrykują toto i sprzedają za granicę. Sam już widziałem takie pióro w Kaliszu. Nie jest drogie a trwałe od gęsiego i podobno równie zdadne do pisania, tylko się go temperować nie da.

W dużej urzędowej izbie było jeszcze chłodniej niż w jego mieszkaniu, więc skończywszy przycinanie zabił kil-

kakrotnie ramionami, zatarł dla rozgrzewki ręce i spojrział z wyrzutem na wielki, stojący w kącie piec z popękkanymi kaflami.

- Zimny już diabeł – mruczy pan Stanisław i wtedy jak na zawołanie zahuczalo coś w kominie, zaświstało i gonty na dachu poczęły trzeszczeć. Kot obwąchujący kąty wskoczył na stół, znieruchomiał chwilę nastawiając uszu, a potem usiadł i liżąc łapy zaczął się dokładnie myć.

- Zglupiałeś Katonie, kto by tu przyszedł w taki czas.

Wichura rozszalała się na dobre. Uderza w dom. Stuka w oszronione szyby i zawodzi płacziwie. Zimowy wieczór staje się coraz bardziej nieprzyjemny i niezachęcający do pracy. Stary człowiek łatwo mógł go zakończyć w zaciszu i ciepłe ogromnej, kraciastej pierzyny, gdyby nie myśl, że jutro z rana zajedzie kurierka z Sieradza i trzeba będzie oddać raport do Kalisza.

- Niech to lichy porwie – powiedział gniewnie pan Stanisław i zaczął pisać na szorstkim, owsianym papierze okrągłe, zgrabne literki wypracowaną przez lata sztuką kaligrafii. „Do Jaśnie Wielmożnego Naczelnika Wojennego Oddziału Kaliskiego”. Tu pióro kończące zamasytym zakrętasem ostatni wyraz utknęło na drobnej, ledwo widocznej w papierze owsianej słonce i inkaust stanął wypukłą kropką, gotową rozpląnąć się lada moment kompromitującą plamą na tak ważnym, urzędowym piśmie.

- Niech to wszyscy diabli – nieopatrznie krzyknął burmistrz i wtedy zimny dreszcz przeleciał mu przez plecy i zjeżył resztki włosów na głowie. Wejściowe drzwi poczęły łomotać tak potężnie, że nie mogło to być sprawą szalejącej zawiei ani żadnego człowieka z miasta chcącego wejść do kancelarii. Łomotanie było nachalne, nie szanujące powagi urzędu. Na dodatek jakieś stłumione głosy poczęły wśród szumu burzy wołać – Otwierac! – próbując wyłamać drzwi, nad którymi wisi przecież wymalowany na blasze dwugłowy carski orzeł.

Struchlały burmistrz stał chwilę niezdecydowanie, ale gdy znów powtórzyły się głosy – Otwieraj!- drepcząc starczo pobiegł do sionki odemknąć trzęsącymi się rękami żelazną zasuwę.

Gdy uporał się wreszcie ze złośliwym jakimś w owej chwili żelazem i drzwi puściły, do izby wpadło kilku młodych, rosnących mężczyzn w wysokich, „palonych” butach, krótkich kożuszkach, uzbrojonych w nowe pałasze i sztucery. Na czarnych rogatywkach obwiedzionych szarym barankiem widniały okrągłe kokardy o amarantowo-białych barwach.

- Jezusie Nazareński, to oni – szepcze pan Stanisław i wzruszenie zaskłiło mu się w oczach na widok tych od trzydziestu lat niewidzianych żołnierzy. Jeszcze są tacy nowi, czyści, niezłęczeni. Jeszcze obcy im znój wojny i ból, rozpacz, zniechęcenie. Ano zobaczymy, zobaczymy. – Dopomóż Bóg.

Z grupy powstańców wystąpił na środek izby niższy nieco, ale widocznie starszy rangą i wyrecytował uroczystym głosem:

W imieniu Rządu Narodowego proszę o wydanie kasy miejskiej i urzędowej poczty.

A potem zwyczajnie jakby od siebie dodał:

- Tylko prędzej, nie mamy czasu.

Reszta nieznanymi ludźmi nie otrzepując się nawet ze śniegu, stanęła w milczeniu w postawach spokojnych lecz pewnych siebie. Jeden z nich oparł rękę na biodrze, gdzie za szeroki pas zatknięte były dwa pistolety. - Ależ naturalnie, jakżeby inaczej – powiedział z radością w głosie pan Stanisław i



poszukawszy kluczy otwierał jak tylko mógł najszybciej ciężkie wieko dębowej skrzyni.

- Bierzcie bracia. Ja też kiedyś pod Dębińskim... - ale nie dokończył rozpoczętego zdania, pomógł zgarnąć do worka resztę miedzianych kopiejek.

Po zabraniu pieniędzy dowódca nakazał swym żołnierzom zdjąć carski portret i zniszczyć go. I wtedy niespodziewanie wystąpił pan Stanisław z prośbą by oddano mu portret.

- Ja panie oficjerze - mówił - jestem już stary i nie mogę pójść do partii, ale chętnie chciałbym też coś zrobić pożytecznego w tej chwili swobody. Pozwólcie panowie staremu.

Gdy oddano mu portret, postawił go z szacunkiem na kasie oparłszy o ścianę, a potem splunąwszy w garść po chłopsku, gołą pięścią trzasnął z całej mocy wprost w dostojne oblicze Najjaśniejszego Monarchy. Rozprysło się z brzękiem szkło i portret spadł na podłogę. Wtedy jeszcze pan Stanisław nastąpił rozciętym pantoflem na koronacyjny strój. Uśmiechnął się jak zawsze przy końcu dobrze wykonanej roboty. U jego stóp leżał najpotężniejszy mocarz, miłościwie panujący cesarz imperator, samowładca Wszechrosji Aleksander Drugi Mikołajewicz Romanow.

- Żegnajcie - rzekł salutując na odchodnym również uśmiechnięty dowódca i cała grupa opuściła magistrat.

Przez szum wiatru pan Stanisław słyszał jeszcze brzęk odrywanej blachy na zewnątrz budynku, a potem już tylko zimowa noc świszcziała zamiecią.

Stary urzędnik stał chwilę nad swym dziełem zniszczenia, następnie otarłszy dokładnie i zwinąwszy w chusteczkę skrwawioną dłoń, usiadł spokojnie za stołem i począł pisać przyjętym urzędowym stylem: „Mam honor donieść W-nemu Panu Naczelnikowi, że dzisiejszego wieczoru 1863 roku, sześciu ludzi uzbrojonych dopełniło rewizji skrzyni kasowej i zabrał herb sprzed magistratu wiszący oraz zatrzymało pocztę”.

Siedzący na stole kot z rzadka rozchyłał szparki oczu. Drzemał. Stary patrzył na niego chwilę w zamyśleniu, a potem poprawiwszy przeszkadzającą nieco chusteczkę pisał dalej: „Przy otwieraniu wieka skrzyni kasowej przez ludzi zbrojnych, wypadkowym sposobem spadł z gwoźdźnia na podłogę i od antabów żelaznych przy skrzyni przymocowanych został oszklenia pozbawiony i mocno uszkodzony portret Najjaśniejszego Pana”.

Burmistrz jeszcze chciał coś napisać, ale krew poczęła sączyć przez chusteczkę, z rezygnacją odłożył więc gęsie pióro, wziął kota na rękę, wstał, sięgnął po lichtarz i wyszedł z kancelarii do swego pokoju.



## Niobe małego miasteczka

Ktoś napisał, że ptaki są nieśmiertelne, bo wróbla od wróbla nie odróżnisz, wrony od wrony. Czy to dzisiaj, czy za rok, czy za sto lat, zawsze są te same, jednakowe, wieczne. Tylko z obserwacji gniazd można się domyślać, że też

się rodzą, dojrzewają, ale czy umierają, to już stwierdzić trudniej, bo nie widzi się żadnych ptasich pogrzebów ani cmentarzy. Wprawdzie widać czasem takiego, co w miłośnej gonitwie w zaślepieniu zabija się o gęstwę telefonicznych drutów. Jeszcze rzadziej widzi się ptaka zimą, gdy leży na śniegu brzuszkiem do góry i rozczapierza zeszywniałe łapki w ostatnim obronnym ruchu przed mrozem. I to prawie wszystko. Tylko ludzkie pokolenia są zauważalne w swych zmianach. - To tylko ludzie dbają o swe imiona, nazwiska, ubiory. - Mają swe osiedla, ojczyzny i ich granice. Walczą o nie, mordują się. Umierają.

Obudziwszy się leżąc w dorastającym zbożu i myśląc tak patrząc w błękit, w którym zawisają na krótkie momenty śpiewające skowronki. Ostrzeżony przychodzę tu na noc spać, bo tam w miasteczku u rodziców boję się, że przyjdą noca, zagarną i wywiozą.

Pierwszych kilka nocy miałem niespokojnych, bo slychać było z oddali wycie bezdomnej suki, której opiekunów - miejscowych Żydów - zagazowano w czarnym samochodzie, a szczenięta potopiono. Kilka więc nocy odczuwałem ze zwiększoną mocą ciemność, zimno, samotność, krzywdę i strach.

Dzisiaj pod tym starym ojcowskim kozuchem spałem wreszcie dobrze. Spałem twardo i bez lęków. Nie czułem tego stale wiszącego nade mną mitologicznego miecza. Nie budziłem się i nie myślałem, że są już w naszym domu, że biją mych rodziców. Nie nasłuchiwałem czy wilczury bobrują już w tym życie, gdzie przebywam. Jest tak cicho, spokojnie. Ani noca ani w rannym wilgotnym powietrzu nie slychać gardłowej niemieckiej mowy czy nawet polskich słów wypowiedzianych wstydliwie ścisłym głosem, przez naszych rodzimych Niemców, którzy nie nauczyli się jeszcze mowy nadludzi, a już przystali do służby w żandarmerii jako Hilfspolizei. Tak więc, gdy ostrożnie się podniosłem i głowę wystawiłem nad zielone morze, nie było widać nikogo, tylko na obszernym kręgu wiosenna ziemia dymila płytkim, muślinowym oparem, a w jego głębi, gdzieś nad łąkami, niewidoczne prawie kwiliły czajki. Bardzo wysoko rzadkie, lśniaco-różowe obłoczki przepowiadały pogodę.

Wstałem i rozprostowałem się. Od niewygodnego spania ciało trochę bolało, ale radosną myślą młodości i zdrowia stwierdziłem, że dobrze jest żyć. - Och uchronić się jeszcze i istnieć długo, długo i zawsze tak czuć to szczęście, że jestem.

Dziś niedziela i, mimo że wstałem ze snu nie w rodzicielskim domu, a dość daleko od siedzib ludzkich, wszystkie niebezpieczeństwa wydają się być niegroźne. Jest zielono i błękitnie po ciepłej, przyjaznej nocy, wstaje znów słońce i budzi się jakaś niewypowiedziana przyjemność wiosennego dnia. Na najbliższym modraku przysiadł kolorowy motyl. Dołem wolno sunie ślimaczek ze swym bagażem, zostawiając na ziemi srebrzysty ślad.

Podniosłem ręce, opuściłem je. Wykonałem kilka gimnastycznych ruchów, a potem pod wpływem nastroju pogładziłem pieścizotliwie wysoką już szczytkę zboża, nachylającego się zalotnie jak dziewczyna. „Dziewczyna - ozimina” - zrymowałem wesoło i zaraz nasunęło mi się podobieństwo mego pokolenia do tego żyta sianego przed zimą, jak przed tą okrutną wojną. „Ozimina” to też tytuł powieści Wacława Berenta, którą kiedyś pożyczył mi Kazik Leśniewicz. Podobała mi się jej stylizacja językowa i liryczna nastrojowość.

Myśl o Kaziku spłoszyła zaraz me rozweselenie. Zwinąłem kozuch, umieszczając w nim jak zwykle kraciasty jasek, przysypałem to zwiędłą trawą i, tonąc w zbożu po



pachy, wyszedłem na miedzę. Spod nóg szurnał mi młody zając, jakiś ptak przestraszony zatrzepotał w zbożowej gęstwinie i znów wróciła względna cisza, bo w górze skowronki dalej popiszywały się swą poranną pieśnią. Wokół pod blaskiem słońca kipiało życie, tylko Kazik już nie żył. Z Mauthausen-Gusen przysłano niedawno matce metalową puszkę popiołu. Puszce zrobiono maleńką trumienkę i pochowano na miejscowym cmentarzu. To wszystko. Mnie jednak stał on ciągle przed oczami wysoki, szczupły w licealny garniturku z metalowymi guzikami, na których wyciśnięty był symbol – płonący kaganek na tle rozwartej książki.

Senne uliczki naszej mieściny sprzyjały literaturze, usposabiały młodych do wielkich marzeń. Kazik wiedząc, że żyje książkami, a nawet piszę wiersze, zaproponował kiedyś stworzenie wspólnie sztuki, coś jak „Wesele” tylko z legionowym tematem. Zamiast smętnej melodii Chochola, miały skrzypki grać za kulisami „Rozkwitały pąki białych róż” – wolno, cicho, rzewnie, tak aby taneczne koło poległych żołnierzy wydawało się naprawdę zaczarowane. Smęt miał dopiero ich odejść, gdy fanfary zagrają na bój. Naiwne to, ale jakże pełne owej patriotycznej romantyki, która go cechowała. Tak pasjonował się tym pomysłem, że nie miałem serca z niego kpić.

Nie wiem, co było powodem, czy ten sztubacki jeszcze romantyzm, czy świadoma męska decyzja, gdy na list matki proponujący możliwość wydostania się z obozu. Kazik odpisał, że nie wyraża zgody i prosi, by matka też nigdy tego nie uczyniła. Chyba zdawał sobie sprawę, że tą decyzją skazuje siebie na zagładę w tej fabryce śmierci.

Widać już miasteczko – kolorową smugę nad zielonym od tataraków stawem. Idę szybko w tę stronę posmutniały i zadają sobie pytanie czy słusznie postąpił Kazik. Jest na pewno bohaterem, ale mógł uchronić życie bez takich gestów. W przyszłości bardzo by się przydał Wolnej i Niepodległej. Jak więc słuszniej – żyć z płamą na honorze czy umrzeć bez plamy? W zestawieniu z Kazikiem, czy mogę teraz mieć spokojne sumienie. Partyzanckie oddziały w Gubernatorstwie czekają na młodych, a ja w tym spokojnym kraju nad Wartą śpię nocą w zbożu, w dzień pracuję u Niemców. Jestem jednym z tego kazikowego zaczarowanego koła i krążę sennie w okupacyjnym kieracie. Gdzieś daleko grają pobudkę, tylko ja udaję, że jej nie słyszę. Czy jakaś wyższa argumentacja to usprawiedliwia? W walce mógłbym należeć do podstawy działania, mającego wartość nie tylko dla jednego człowieka, który chce zachować życie.

Wieczorem, gdy zasypiam, albo budzę się nocą lub nawet rankiem tak promiennym jak dzisiejszy, podobne myśli napadają mnie znieścacka i kłają. Nęka pytanie, co robić i na jaką zdecydować się postawę, by w przyszłości rozrachunek z tego przekłętą czasu wypadł dodatnio. A może wartość ludzi zależeć będzie od wszystkich czynów naszego życia? Oby – pocieszam się.

Z sercem obciążonym takim ciężarem co rano mam jeszcze jedną trudność do pokonania. Gdy z pół pomykam na tyły ulicy Długiej, w jednym z ogrodów na stoku wzniesienia spotykam wysoką, szczupłą kobietę. Wychodzi z domu, staje w widnym miejscu i patrzy na południe. Obrysowana konturem światła stoi i patrzy gdzieś bardzo daleko, gdzie, jak zapewne jeszcze wierzy, żyje jej jedyny syn. To matka Kazika. Twarz ma zwróconą w moją stronę, a nie widzi mnie, mimo że kłaniam się każdego ranka. Pewnie duchem jest już po tamtej stronie, gdzie się ma wszystko poza sobą i nie obchodzi człowieka żadne ziemskie sprawy. A może nie chce mnie widzieć. Może żal jej, że jestem

takim samym młodym chłopcem jak Kazik, a żyję. Nie chciałbym więc, choć muszę tędy przechodzić, między ścianą wysokich trzciny stawu a stokiem wzniesienia, jakby zapleczem ulicy, pełnym drzew owocowych, krzewów i parkanów, bo tu jest najbezpieczniej. Coraz boleśniej przeżywam tę scenę. Z początku myślałem, że może którego dnia kobieta załamie się, przemówi do mnie, będzie płakać, rozpaczać, ale nie. Codziennie stoi bez ruchu jak kamienna rzeźba Niobe. Głowę ma uniesioną nieco do góry, aby chyba lepiej widzieć syna tam za horyzontem albo wyć z bólu jak ta żydowska Kama, którą wreszcie wczoraj zastrzelili żandarmi.

Dziś także odczuwałem ten niepokój, ale przechodząc obok ogrodu Leśniewiczów zobaczyłem na wzniesieniu kilka osób pochylających się nad czymś leżącym na ziemi. Podeszedłem do gromadki żywo rozmawiających i pojękujących ludzi. Na trawie wilgotnej od porannej rosy leżała matka Kazika boleśnie jakoś przekrzywiona jak zwalony posąg. Jedna ze znajomych kobiet odwróciła się ku mnie i poinformowała krótko: Serce.

Nie miałem tu co robić. Odwróciłem się i schodząc myślałem – Tak to jest, gdy nikt w bólu nie może dać pomocy.

Wokoło świeciło słońce i kipiała wiosna, kwitły jaśminy, brzęczały pszczoły i ćwierkały ptaki. Lekki wiatr kołysał trawę bujnej łąki, co wybiegała w pewnym miejscu daleko w staw jak półwysep lub odwrotnie niczym falująca zielona zatoka. Przez tę zatokę płynął wystający z trawy koniec kociego ogona, ciemny peryskop podwodnej łodzi. Łódź szybko starała się przeciąć mi drogę, bo peryskop prul ukosem zielone fale w kierunku ścieżki. Spotkaliśmy się wreszcie. Z trawy wychynał bystro patrzący łeb czarnego kota z okrwawionym pisklęciem w pysku. Miniatura czarnej pantery jednym skokiem przesadziła ścieżkę i dała nurka w ogrodowe pokrzywy. Zapach dzikiej mięty, tataraku i jaśminów snuł się jak rozwiewany, ledwo odczuwalny już dym gromnicznej świecy.

Wsunąłem rękę do kieszeni, miałem tam kawałek kredy, potrzebnej do pracy. Rozejrzałem się, nie było nikogo. Na najbliższym parkanie napisałem: Nie przejdą! Kiedy odszedłem już spory kawałek napis wydał mi się jakiś mało jasny, nieomal bojaźliwy, mimo że zapamiętałem go jako zawołanie walczącej z faszyzmem Hiszpanii. Zawróciłem i wielkimi literami napisałem wyraźnie – Śmierć faszyzmu!!!

Znów szedłem w zamyśleniu do domu i w pewnym momencie zdziwiłem się, bo droga, na którą wstąpiłem wiodła prosto do lasu. Przystanąłem. Mimo, że las mógł być tu tylko przenośnią, pojawił się znów lęk, znane uczucie zagrożenia. Nie chciałem się bać, a bałem się. Chyba jest granica, poza którą bohaterstwo jest nieopłacalne, a istnieje tylko obowiązek biologicznego przetrwania? – zastanawiałem się. Nagle przyszyła mi do głowy wstydlawa, lecz dosadna sentencja: – Tchórze łatwiej przeżywają. Przedarła się z głębi myśli, jakbym ja tam od dawna ja przechowywał. Zacerwieniłem się. To było jak chłaiście w pysk. Poczulem nawet furkot wiatru od jakiejś niewidzialnej ręki. Ale były to dwie goniące się jaskółki – wolne i wesole. Westchnąłem. Słońce świeciło ostrym blaskiem. Skądś pojawił się niemiecki bombowiec i zsuwając się coraz niżej z błękitu brzęczał jak wielka krowia mucha. Kiedy zniknął na niebie, zawisł jastrząb i nagle ścisły i ukryły się wszystkie ptaki.



## Legendy starych kapliczek w Opatówku

# Kapliczka Św. Rocha z psem u nóg

Cmentarz choleryczny w Opatówku znajdował się na pustkowiu za miastem przy drodze z Opatówka do Brzezin. Kiedy ludzie nauczyli się walczyć ze strasznymi bo nieuleczalnymi chorobami, morowe zarazy ustały, pozostały tylko grozą w ludzkiej pamięci – dżuma, cholera i inne. Pozostała też biała kapliczka stojąca w miejscu, gdzie była kiedyś brama cmentarna. Nie było chorób, niepotrzebny był też cmentarz. Kości wykopano i przeniesiono w dół na cmentarzu parafialnym. Na pozostałym w ten sposób pustym placu urządzono o zgrozo – świńskie targowisko. Kapliczki patrona zakaźnych chorób i głodu Świętego Rocha, nie śmiano tknąć. Stała aż do ostatniej wojny, zniszczona w końcu przez Niemców. Kapliczka była nietypowa, przedstawiała stojącą postać w patniczych szatach. Po swej prawej stronie miała kosz pełen bułek a po lewej siedzącego psa z bułką w pysku. Skąd ten pies? Otóż św. Roch urodzony we francuskim mieście Montpellier, po śmierci rodziców rozdał biednym cały swój majątek i udał się na pielgrzymkę do Rzymu. Będąc po drodze w Toskanii pielęgnował chorych i głodujących. Aby nadażyć ich karmić, nauczył swego psa roznosić pieczywo po domach. Myślę, że był to dobry sposób uniknięcia przez człowieka zarazy, bo miała się tylko ludzi a nie zwierząt. Kiedy kapliczkę postawiono, nie wiadomo. Na pewno miała sto lub dwieście lat. „Morówek” w ciągu wieków było wiele. Którą święty szybko z Opatówka przepędził, nie wiemy. Zasługi w tej sprawie musiał jednak mieć, skoro mieszkańcy w ten sposób Mu się odwdzięczyli. Wiemy natomiast, jak wspaniale dokonał zejścia z piedestału, okazując pogardę Niemcom. Wiem to od swojego kolegi, który mieszkał w owym czasie na poddaszu domu pana Mańki i wszystko widział.

Otóż na kilka dni przed zagładą kapliczki, niemiecki żandarm o nazwisku Cham – tak trafnie pasujący do jego charakteru i wykonywanej czynności – jechał tą piaszczystą drogą do swego domu, w którejś z niemieckich kolonii w okolicy Brzezin. Zwykle ignorował istniejące kapliczki, ale tym razem zszedł z roweru, zdjął z pleców karabin i paroma uderzeniami kolby wybił psiakowi bułkę z pyska. Uderzył też świętego, ale ten, wyciosany z dębowego kłosa, trzymał się krzepko i nie zwracał uwagi na Niemca, patrząc gdzieś w dal ponad niego, nawet ponad miasto, ponad horyzont, gdzie giną chmury. Inaczej zachował się pies. Pozbawiony bułki pysk miał otwarty i zdawał się rechotać ze śmiechu. Żandarm stał chwilę zdziwiony. Widząc, że kolbą karabinu nie pokona świątka i drewniany pies z niego kpi, wsiadł na rower i odjechał. Po paru dniach, któregoś ranka Hilfpolizei – taki Volksdeutsch, pomocnik żandarmów – przyprowadził grupę Żydów, celem rozbiórki kapliczki. Otoczyli świątka, zastanawiając się jak rozpocząć swoje dzieło niszczenia. Nagle Niemiec począł się śmiać i rozbawiony pokazywać ręką na psa. Żydzi stali jednak poważni, wiedząc w jakim celu ich tu sprowadzono. Co prawda jeden z żydowskich robotników się uśmiechnął, ale zrobił to patrząc kąpi-

co na Niemca. Dostał za to dwa razy w twarz. Tegoż dnia ale wczesnym rankiem koleźce memu ktoś przyniósł pół worka pszennej mąki i postawił przed drzwiami facjatki. Worek miał mocno wyblakły napis – Urbański – Trojanów, ale na nim wyraźny drugi napis węglem – Święty Roch – Niebo. Z tej mąki można było napić sporo bułek.



## Empirowa

Wpół drogi między Opatówkiem a Trojanowem do czasu ostatniej wojny stała w szczerym polu stara empirowa kapliczka. Kto ją zbudował, nie wiadomo. Być może wzniosły ją ręce żołnierzy „wielkiej armii” cesarza Napoleona. Idąc pod urokiem „boga wojny” zdobywać na wschodzie resztki Europy, czy też wracając po klęsce, chowali tu swych towarzyszy, kapliczką zaznaczając swą tragedię, strzęp pisanej krwią epepei. Czas to pokrył tajemnicą, nie odnotowując w zapisach historii. Nie wiadomo jak było naprawdę. Czas zmiotł ludzi, którzy byli świadkami tamtych dni. Pozostała samotna kapliczka wśród pól, bo i przypuszczalną drogę, przy której ją stawiano, zorały plugi pokoleń.

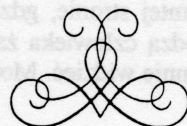
Lata otłuły tynk, wiatry i deszcze rozluźniły spoistość jej muru. Stała więc zagubiona, samotna i odarta z urody. Nawet czasem przechodzący tamtędy ludzie nie zdejmowali przed nią nakryć głowy, bo stała w bezpiecznej od tego obowiązku odległości.

Dumna, bo w stylu cesarstwa, bez żadnych napisów, nie wyjawiała swej tajemnicy, wyglądem swym pozwalała się domyślać czyje ręce ją budowały. Wszak i w Kaliszu napoleońskie wojska zajęły na lazaret klasztor bernardynów. Stojący przed nim do dziś obelisk też bez napisów wzniosły nad wspólną mogiłą około trzystu żołnierzy francuskich i bawarskich.

Styl cesarstwa podpowiadał także, że mogło być inaczej; że to książę Zajączek kazał zbudować tę kapliczkę, aby uczcić śmierć nieznaną francuskich żołnierzy. Przecież zaledwie przed dziesięcioma laty srogą zimą w lutym 1812 roku w odwrocie armii gubili swe życie w tym miasteczku i na tych polach.

Książę zmienił swe poglądy polityczne dla ratowania majątku i splendoru swego śmiesznego nazwiska, ale przecież okres napoleoński wycisnął swe piętno w jego duszy na pewno. Mogło to więc zdarzyć się i w ten sposób.

Po stu trzydziestu latach znalazł się w Europie człowiek, który chciał poprawić napoleońskie błędy. Hitler drogą cesarza Francuzów ruszył na wschód i wiadomo co go spotkało. U szczytu powodzenia ten człowiek powojował też z kapliczkami i barbarzyńsko zburzył również tę naszą tajemniczą empirową z podopatowskich pól.





# Kapliczka w Starych Dębach

Miałem lat dziesięć gdy wprowadziliśmy się do małego, parterowego domu na Zawodziu w pobliżu mostu. Do mu z zapadniętym nieco dachem i oknami prawie tuż przy ziemi. Istnym domu Baby Jagi.

Naprzeciwko naszych drzwi mieszkała rodzina Ciepluchów. Czterech mężczyzn – ojciec i trzech synów. Ojciec był wdowcem, cieśla na emeryturze, synowie zaś trudnili się rybołówstwem. Nocą łowili ryby a w dzień wracali z połowem. W owym czasie wszystkie rzeki, jeziora i stawy nie były zatrute jak dziś, więc ryb było mnóstwo. Odwiedzałem Ciepluchów często aby podziwiać wielkie sztuki szczupaków, płoci czy karasi.

Stary Cieplucha był chory, prawie stale leżał w łóżku. Pewnego jesiennego dnia wstał jednak i ku zainteresowaniu wszystkich począł budować małeńki ołtarzyk Matki Boskiej, do obrazka jaki wisiał nad jego łóżkiem. Ołtarzyk zabezpieczył przed wilgocią szybką a front obudował małym płocikiem. Po pomalowaniu całości wesołą żółtą farbą, zaniósł swe dzieło do starych dębów, w miejscu, gdzie droga z Opatówka do Kalisza rozdzielała las na dwie połowy. Ołtarzyk powiesił na najstarszym i najgrubszym drzewie.

Stary cieśla gdy wrócił był bardzo zmęczony, położył się do łóżka i po jakimś tygodniu zmarł. Nim jednak pożegnał się z tym światem opowiedział domownikom w jakiej intencji zbudował kapliczkę.

Było to tak:

Pewnego razu, gdy pan Cieplucha był jeszcze młody, wracał późną nocą pod lekką datą, bo opijano wieniec na nowo postawionej stodole, gdzieś w okolicy Winiar. Las był cichy i ciemny więc idący aby czuć się różnie zaczął nucić piosenkę z żołnierskich lat. Przechodząc w pobliżu grupy dębów rosnących tuż przy szosie, w blasku księżyca, ujrzał przy najstarszym dębie stojącego człowieka z wyostrzoną siekierą. Człowiek stał nieruchomo i nawet na „Pochwalony” nie odezwał się ani słowem. Cieplucha spocił się ze strachu i nawet nie pamiętał kiedy znalazł się w domu. Zawsze potem gdy na „wieńcach” popił sobie, opowiadał znajomym tę dziwną historię.

Trudno było zgadnąć kto stał owej nocy w starych dębach i na kogo czyhał ów zagadkowy człowiek, bo w pobliżu Opatówka nikt nie zginął w owym czasie.

Staremu cieśli cała ta historia głęboko zapadła w pamięć, bo gdy zbliżał się koniec życia zawiesił w opatowskich dębach takie wotum, być może za ocalenie życia.

## Świętego Józefa Opiekuna

Był piękny dzień 19 marca, wiosna stała u wrót miasteczka. Pan Józef Radoszewski nie był dziś w swoim biurze w Kaliszu. Pozostał w domu. Przed przyjęciem imiennym jakie go czekało w godzinach wieczornych, skuszony pięknym słońcem wybrał się konno na spacer. Jechał przez pałacowy park, przekroczył rzeczkę i od strony Wą-

dołów wjechał w przedmieście Zawodzie. Droga była piaszczysta więc koń szedł stępa a pan Radoszewski rozmyślał nad sprawami urzędowymi, szczególnie o założonym przez siebie Kaliskim Towarzystwie Dobroczynności, jednym z najaktywniejszych w Królestwie.

Główną uliczkę Zawodzia tworzyły nędzne domki ubogich chłopów i co dopiero zbudowane tym niemniej lice robotników fabrycznych. Bieda wyzierała ze wszystkich kątów. Nastęrczała więc odpowiedni temat do troski.

Spadkobierca dóbr generała Zajączka, radca stanu Królestwa Polskiego i mąż Gabrieli Zajączkówny, córki młodszego brata namiestnika Ignacego, był człowiekiem czułym na ludzką niedolę tym bardziej, że żona zanim otrzymała wraz z nim ten ogromny majątek, wiele się nacierpiała biedy w kraju i Dreźnie, i we Francji. Dobroczynności zaś mieli się od kogo nauczyć, bo i sam namiestnik Zajączek był jednym z najbardziej świadomych i zdecydowanych demokratów.

Pan Radoszewski zbliżał się właśnie do zakrętu kończącego placyk na Zawodziu, gdy z jednego z podwojek wyskoczyła gromada dzieciaków, kierując się z wrzaskiem wprost na spokojnie jadącego. Koń nagle wystraszony poniósł i zrzucił jeźdźca tak nieszczęśliwie, że jedna jego noga została w strzemieniu. Oszałały koń galopował, jeździec wisiał, rękami tylko odbijając się o ziemię, chroniąc w ten sposób głowę od roztrzaskania na kamieniach tkwiących dość gęsto w jezdni.

Całe szczęście, że idąca naprzeciwko od strony fabryki kobieta, widząc co się dzieje, podniosła z krzykiem ręce i koń tuż przed brzegiem stawu zawirował i stanął parszcząc zmęczony. Pan Radoszewski musiał chyba westchnąć w tym momencie do swego patrona, bo noga wypadła swobodnie ze strzemienia i jeździec, choć oszołomiony, mógł wstać i po chwili wsiąść z powrotem na konia.

Pan na Opatówku dość długo po tym wypadku omijał fatalne Zawodzie, aż dopiero w maju jego żona namówiła go na ponowną przejażdżkę tędy. Jakież było jej zaskoczenie, gdy w miejscu gdzie koń przystanął owego dnia, stała teraz kapliczka ze świętym Józefem i skromnym napisem – „Święty patronie miej go w swej opiece”. To pani Gabriela postawiła tu takie wotum w podziękę za ocalenie życia mężowi.

Niemiecki okupant zburzył i tę kapliczkę, ale najbliżsi mieszkańcy tego miejsca ukryli figurkę wraz z tablicą i odbudowali kapliczkę ponownie po wojnie. Skromnym napisem służy ona teraz dla szerszej już próśby o szczęście dla miasteczka – Święty Józefie miej je w swej opiece.



Fragment parku w Opatówku



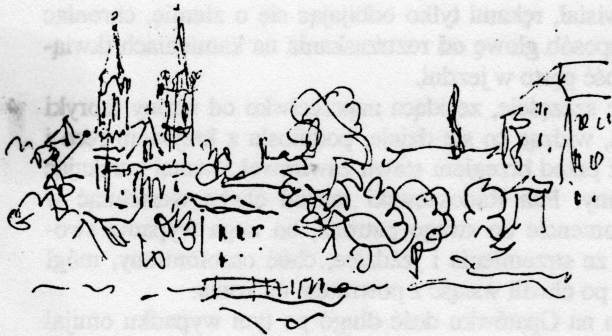
## Opatówek

Kolos starej fabryki skrzypli różą wiatrów  
Zielony księżyc srebrzy niskie ulice  
Staw podaje miasteczku misę mgły  
Jak dionizową czasę –

Noc parasolem z gwiazd  
osłania dziewczęta chłopców i słowiki  
Wspomnieniem ich głosów  
Odwiedzam swe dwadzieścia lat .

z domu  
dzieciństwa miłości i śmierci  
niosę w trudzie chybotliwy płomyk  
krwią świecący przez palce

czas płynie  
i kamienieje tom historii  
pod nim Stefan January  
śni w echach vive l'empereurów  
swoj romantyczny sen



## Do Stefana z Opatówka

Cóż poeto jak zapomnieć to miasteczko  
Skryte w sadach pośród morza pływających zbóż  
Światło strzępi brzegi cienia jak chusteczkę  
Pod topolą na Wądołach poza rzeczką  
Choć tam cieni naszych dawno nie ma już

Nad dachami niskich domów krąg miedziany  
Gruby księżyc wiatr wytoczył spoza chmur  
Brzęczą znowu w starym dworze pełne dzbany  
Julian Ursyn księżną panią prosi w tany  
Młody Asnyk z Agatonem wiedzie spór

Znowu coś dzwoni czy to szpada potrącona  
Czy to księcia inwalidy stapa koń  
Znowu wieje wiatr zachodni kracze wrona  
Wiersz podzwania chociaż martwe masz ramiona  
Trudno przekuć na lemieszę starą broń



## Chełmce

Od łąk prośniańskich ponad granat borów  
Pod wiatr ciągnący ku gwieździe za chmura  
W oczach starej matki w siwej mgle wieczoru  
Płynie kościół strzelisty na grzbiecie pagóra

Przepadł dąb grający i srebrne podkowy  
W wioskowej balladzie zgrab świętego chramu  
Świsł-Poświsł ze świętymi prowadzi rozmowy  
Perun w wieżę ciska złotą włócznię gromu

Sierocego placzu na wygonie nie ma  
Ni goryczy głodu sprawy niezawilej  
Rodząca dawniej nędzę chuda chłopska ziemia  
Obdarzona słowem którego nie było.

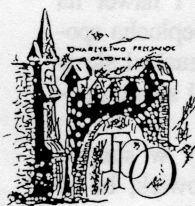
## Powrót

Miasteczko w wieńcu sadów pachnące jabłkami i winem  
Znowu powracam do Ciebie w zmierzchu liryczną godzinę

Z książką bąk bosonogi lecę w zielone łąki  
Znowu wierzby mokną nad wodą i jaśmin rozwija pąki

Świszcze arkan jak w książce i pędzi horda tatarska  
A strzała pada mi w serce i śmiechem dziewczęcym parska

Gdy znowu bliskie oczy rozjaśnią mrok moich wierszy  
Jesiennym spadną listowiem na nurt najszczęszy



### Redaguje zespół w składzie:

Bożena Banasiakowa, Anna Burkowa,  
Jan Kowalkiewicz, Piotr Kuczyński,  
Stanisław Kuś, Jadwiga Miłuska  
Elżbieta Rogozińska

Korekta: Elżbieta Rogozińska

Współpraca: Barbara Sulwińska

Skład: Małgorzata Judasz

Wydawca: Towarzystwo Przyjaciół Opatówka  
Gminna Biblioteka Publiczna

W numerze zostały wykorzystane rysunki **Władysława Kościelniaka**. Redakcja serdecznie dziękuje Autorowi za ich udostępnienie.